

Złota obora

Bronisław Kowalski

str. 6

LISTY BRATA

Jerzy Kowalczyk

str. 7

KOLUMNY MŁODOLITERACKIE

ŹRÓDŁA

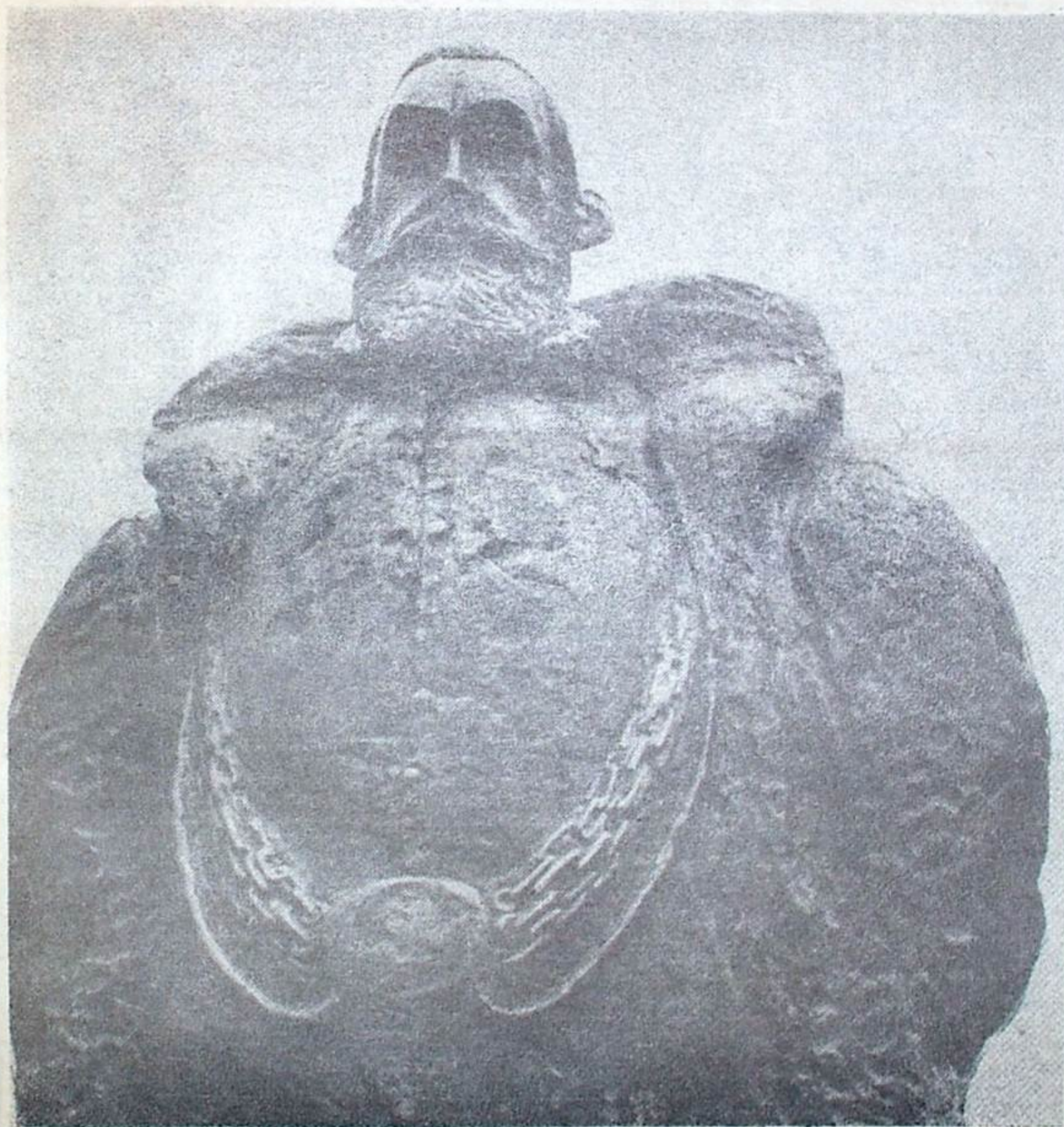
str. 9—10

Kamena

LUBLIN 17 VIII 1980 NR 17 (711)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ



Przewodniczący Rady Państwa, Henryk Jabłoński, otworzył 17 lipca br. w Czarnolesie, woj. radomskie, muzeum Jana Kochanowskiego, inaugurując w ten sposób 450 rocznicę urodzin poety. Przed pałacem wzniesiony został pomnik twórcy „Trenów”, którego autorem jest artysta-rzeźbiarz Mieczysław Welter. Na str. 3 zamieszczamy fotoreportaż z Czarnolasu Waldemara Stępnia.

ATOMY

Henryk Pająk

— To Jola. Ma osiem miesięcy. Rozwija się dobrze. Matka jest prostytutką. To jej drugie dziecko.

— Kasia. Matka w więzieniu.

— Wicja ma sześć miesięcy. Z rozbitego małżeństwa. Matka poszła sobie w świat.

— Tam, pod oknem, jest Jadzia. Matka ma raka. Zostało pięcioro dzieci.

— W czerwonym kaftaniku, z palcem w buzi. Basia. Matkę zabrano do Radeczniczy, mają ją rzucić.

— Na końcu Adaś. To była ciekawa sprawa. Przywiozła go sześć milicjantów późnym popołudniem. Matka w więzieniu, ojciec chciał pobić milicjanta, więc jak go wzięli do aresztu, to zabrali do nas malca.

— Nie, one są przeważnie nieślubne. Połowa to dzieci uczennic i studentek. W tamtym budynku, na noworodkach, jest uczennica 8 klasy. I tak jest przeważnie. Rządziej studentki. Ale przejdźmy do sali dwulatków. No tak, dziwi pana to ich kołysanie. One tak wszystkie, z braku ruchu. O właśnie tak. Klęcząc, wsparte na dłońach, potrafią kołysać się kwadransami, jak muzulmanie. I to zjawisko nazywamy muzulmanizmem dzieci sierocych. Wie pan, każda pracownica ma na dyżurze po kilkanaście dzieci, czasu wystarcza tylko na przewijanie, ubieranie, karmienie...

— Te dzieci nie płaczą. Tak sobie tylko patrzają nieruchomo...

— Bo mają sucho i są nakarmione. Jak się tak dokładnie przyjrzedz któremuś, to można zauważyć,

Dokończenie na str. 4—5

Przeciw sposobikom

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Warszawską Akademię Sztuk Pięknych skończył pan w 1955 roku, studiując pod dobrym kierunkiem Nachta - Samborskiego (malarstwo) i Pakulskiego (grafika). Od 12 lat przebywa pan stale w USA, nie tracąc zresztą kontaktów z Polską. Profesorem wydziału sztuki uniwersytetu w Maryland jest pan już siódmy rok. Z katalogów można się ponadto dowiedzieć, że wystawiał pan w dobrych lub bardzo dobrych galeriach Europy i A-

meryki, na przykład w Centre Pompidou i nowojorskich Museum of Modern Art, uczestnicząc też w wielkich imprezach międzynarodowych typu Biennale w Wenecji. W amerykańskich słownikach i encyklopediach sztuki widnieje nazwisko Tadeusza Łapińskiego, który otrzymał nagrody artystyczne UNESCO i paryskiego „Baubourg”. Więc jest dobrze, ale: czy mógłby pan dziś utrzymać się wyłącznie ze sztuki?

TADEUSZ ŁAPIŃSKI: — Dziś — tak, bo mam nazwisko i dealerów, czyli przedstawicieli handlowych, w kilku miastach. Kiedyś przeżywałem jednak trudne chwile.

IJK: — Uprawia pan wyłącznie litografię, technikę szacowaną, powstałą w XVIII wieku, podczas gdy na świecie panoszą się obecnie różne fotoreprodukcyjne metody szybkiego, łatwego i ekonomicznego powielania obrazu. Nie ciągnie pana do nich?

TL: — Nie, ja pracuję ręcznie, sam wykonuję odbitki, i ograniczam serię, przykładam wielkie znaczenie do interpretacji motywów. Nadmierna technizacja grafiki prowadzi do komercyjności, do mnożenia sposobików, które niszczą podstawy kreacji indywidualnej, zależnej nie tylko od sprawności warsztatowej autora, lecz i od jego wyobraźni przeżywania świata, zdolności intelektualnego porządkowania doznań. Zresztą w samych środowiskach artystycznych USA obserwuje się pewne

Dokończenie na str. 5

z notatnika

31.VII. W „Literaturze” recenzja Kazimierza Koźniewskiego z książki Jerzego Putramenta „Poślizg”, wchodzącej w skład cyklu „Pół wieku”. I w tym samym numerze tygodnika replika pióra tegoż Jerzego Putramenta. Redaktor naczelny „Literatury” pisze o Koźniewskim — „Kazikozi”: „Kazikozi [...] ma swoje stałe miejsce bodaj na wszystkich zebraniach Związku Literatów. [...] Zanim inni pomyślą, czy warto przemawiać, Kazikozi nie tylko zdecydowanie, ale i kończąco mówi. Właśnie to — to znaczy zaraz i krótko jest jego dewizą życiową. Gdyby był aktorem filmowym i grał w westernach, byłby „szybkim Billem”, tym, któremu pistolet odzywa się najłatwiej”.

Nie wchodzę w meritum sporu, zwłaszcza że polemiki należy doceniać. Nie mniej powtarzam: replika ukazała się w tym samym numerze „Literatury”, co i recenzja. Ktoś, kto zaczyna lekturę pisma od ostatniej strony, najpierw przeczytał Putramenta, a dopiero potem Koźniewskiego. Jeśli Putrament nazywa Koźniewskiego „szybkim Billem”, to jak można scharakteryzować autora „Poślizgu”? Pikanterii sprawie nadaje stały nadtytuł felietonów Putramenta: „W dwadzieścia lat później”. A poczekać do 2000 roku nie laska?

2.VIII. Zdobylem książkę pt. „Lenin — Październik” pióra Łászko Gyurkó w tłumaczeniu Tadeusza Olszańskiego (Wyd. PIW). Autor pisze: „Gil, kierownik Lenina, wspomina, jak to pewnego razu, bodajże w 1921 roku, Lenin wstąpił do fryzjera na Kremlu. Było wielu klientów, więc usiadł, wyciągnął z kieszeni jakieś czasopismo i zaczął czytać. Oczywiście, czekający chcieli go przepuścić, ale Lenin sprzeciwił się mówiąc, że trzeba przestrzegać porządku, przecież oni go ustalają, i że za czeka, aż przyjdzie jego kolej...”

„Opowieść Gila — stwierdza dalej Gyurkó — początkowo wywołała we mnie sprzeciw. [...] Ale jest jednak faktem, że Lenin im wyżej się wznosił, tym bardziej zwracał uwagę na niekorzystanie z żadnych wyjątkowych przywilejów [...]. Nie chciał przyjmować najmniejszych nawet upominków, a gdy już w żaden sposób nie mógł się od nich wymówić, odsyłał je natychmiast do któregoś ze szpitali lub domu dziecka. [...] Kiedy w grudniu 1920 roku gdzieś na szosie zepsuł mu się samochód, udał się przy dwudziestostopniowym mrozie piechotą do najbliższej stacji kolejowej, zabronił naczelnikowi stacji, który stał z rozdziawioną gębą, podstawił specjalnego składu i powrócił do Moskwy najwcześniejszym pociągiem towarowym. [...] Jeden z listów do siostry z końca 1922 roku: „Kochana Aniuto. Stała się rzecz następująca: Okazało się, że ta książka jest z Akademii Socjalistycznej, skąd nie wolno wydawać książek do domu! Dla mnie zrobiono wyjątek! Wypadło niezręcznie — naturalnie z mojej winy. Teraz trzeba szczególnie dopilnować, żeby Gora (wychowanek siostry Lenina i jej męża) szybko i w domu książkę przeczytał i zwrócił”.

Gościwość polecam książkę Gyurkó! Sądząc, że niejednego spośród nas zmusi ona po prostu do myślenia.

4.VIII. Olimpiada, olimpiada i po olimpiadzie. Niedawno pisałem — a było to wówczas, kiedy nasza reprezentacja nie zdobyła ani jednego złotego medalu — że z mieszanymi uczuciami oglądam występy polskich zawodników. Teraz już jest wszystko jasne: mamy 32 medale — 3 złote, 14 srebrnych i 15 brązowych, a w sumie — 245 punktów. Po poprzedniej olimpiadzie, w Montrealu, szczyliśmy się 26 medalami, ale wśród nich było 7 złotych (6 srebrnych, 13 brązowych). Punktów było mniej niż w Moskwie — 185,75, ale i mniej było samych zawodników.

Więc dobrze czy źle? Moim zdaniem trzeba wyśrodkować. Ani dobrze ani źle. Średnio. Mamy wielu młodych zawodników: 77 proc., a więc więcej niż trzy czwarte (!) ekipy stanowili debiutanci, którzy w sumie zdobyli 60 proc. medali lub miejsc punktowanych. Gdyby olimpiada odbywała się w Ameryce, z pewnością wahałoby się (wiadomo, koszty...) i w sumie nasz bilans

byłby z pewnością mierniejszy. Inna sprawa, że aklimatyzacja w Moskwie była na pewno łatwiejsza niż w Montrealu czy w Meksyku.

Reprezentację naszego kraju zdeklarowali (można tak powiedzieć) zawodnicy radzieccy i NRD-owscy. Ci ostatni zdobyli znacznie więcej złotych medali (47!) niż nasi złotych, srebrnych i brązowych. Nie tylko medalowo, ale i punktowo pokonała nas Bułgaria (8 złotych, 16 srebrnych, 17 brązowych i 288 punktów). W klasyfikacji punktowej Polska znalazła się na czwartym miejscu, ale medalowej na dziesiątym, co satysfakcjonować nas nie może.

Ale przecież medal medalowi nierówny. Jedno złoto Kozakiewicz dla mnie jest warte więcej niż... No, nie będę porównywał. Trzeba również zdawać sobie sprawę, że wielu naszych (i nie tylko, oczywiście, naszych) zawodników zdobyło się właśnie w Moskwie na największy wysiłek. Świadczą o tym i rekord świata (Kozakiewicz) i 20 rekordów Polski i wreszcie 27 rekordów życiowych. Rekord życiowy osiągnięty właśnie na olimpiadzie wart jest szczególnej pochwały, szczególnego uznania.

Przy okazji: Totalizator Sportowy nie da grającym odpocząć. Oto w zestawie par na najbliższą niedzielę: Carbo Gliwice — Beskid Andrychów, Kabel i b Kraków — Wisłoka Dębice, Odra i b Opole — Skra Częstochowa. Itp. Pierwsza tura rozgrywek o Puchar Polski. Najciekawsze jednak, że mogą być tylko dwa wyniki: zwycięstwo lub przegrana. Remisów nie ma, gdyż zgodnie z § 5 Regulaminu do rozstrzygnięcia zakładów miarodajny jest wynik uzyskany na boisku łącznie z dogrywkami i rzutami karnymi. Za 16384 złote pewna „trzynastka” plus ileś tam „dwunastek”, „jedenastek” i „dziesiątek”. Szkopuł tylko w tym, że za „dwunastkę” można będzie dostać zaledwie kilkanaście, lub kilkadziesiąt złotych. Jeżeli się mylę — leci ode mnie kawa.

Grywam ze zmiennym szczęściem w Totalizatorze i wraz z innymi miłośnikami tego sympatycznego przecież hazardu czekam na Ligę Angielską. Z sympatią dla Motoru i na Ligę Polską. Panię Waligóra, pana drużyna będzie do góry walić? Ostatnio podobno chłopaki mniej chodzą, a więcej jeżdżą maluchami. Oby na boiskach to zaowocowało!

5.VIII. Jak najbardziej popieram rzemiosło. I nie jest źle, kiedy rzemieślnicy wykonują drobne części samochodowe. Chciałbym jednak, żeby to nie były buble. A właśnie kupilem kopułkę aparatu zapłonowego do małego fiata. Producent: „Warsztat elektromechaniczny Jan Kopołka, ul. Prusa 13, 41-400 Mysłowice”. Cena 60 złotych, o 10,50 zł wyższa niż kopułka produkcyjnej w Warszawie (ul. Łopuszańska 22). I co? Na trasie pięciokilometrowej dwukrotnie odmówiła posłuszeństwa. W zakładzie narawczym powiedziano mi „Proszę sobie nie zawracać tym głowy. Te przywaciarskie konułki nadają się tylko na złom”. Nie wiem, czy wszystkie, ale fachowcy znają się na tym lepiej ode mnie. Chętnie bym zmienił zdanie o kopułkach pana Kopołki, ale może w tej sprawie wy-

powie się Spółdzielnia Rzemieślnicza Mechaniki Pojazdowej i Precyzyjnej w Katowicach (ul. Rożdżeńska 20), która również tę produkcję firmuje. Chyba po to, aby się można poskarżyć!

6.VIII. „Prasa Polska”, miesięcznik Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, drukuje wypowiedzi na temat krytyki artystycznej. Witold Filler stwierdza: „Czytam recenzje teatralne w pismach z pozoru bardzo poważnych, jak „Teatr” czy „Kultura” i niepokój mnie ogarnia, że ktoś podobne rzeczy wypisał, ktoś inny dopuszcza je na łamy. Swoistą kategorię stanowią różne pannie polonistki, które w swoim mniemaniu mają kwalifikacje do płodzenia recenzji, bo studiowały i pojęły (też w swoim mniemaniu) Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego. Tymczasem literatura i teatr to dwa różne światy i trzeba przede wszystkim zrozumieć tę odrębność...”

A oto opinia Romana Szydłowskiego: „Obecny stan krytyki artystycznej w prasie codziennej budzi zaniepokojenie. Kurczy się ilość miejsca przeznaczona na omawianie dzieł literackich i artystycznych. Wykrusza się kadra krytyków starszego pokolenia, a dopływ młodych jest nikiły ze względu na malejącą atrakcyjność tego zajęcia”.

7.VIII. Witold Rumel drukuje na łamach „Literatury” interesujący szkic na temat Bronisława Malinowskiego, złotego medalisty z ostatniej olimpiady. „Do sportu wyczynowego — stwierdza autor — (Malinowski) trafił w przedziwny sposób, albo może w sposób bardzo piękny, tzn. przez miłość do matki (...). On z wy kalkulowania przyszedł na stadion w Grudziądzu. Chciał wygrać, chciał zostać wielkim biegaczem. Matka powtarzała mu: „Synku, chciałabym, żebyś pojechał do nich jak ktoś wielki, sławny”.

Do nich, czyli do kogo? Do Szkocji! „Matka, Szkotka, na przekór całej swojej rodzinie, wyszła za mąż za Polaka. Listy słała do Szkocji optymistyczne, choć nikt w nie nie wierzył. Urodziła w małej wiosce pod Grudziądzem trzech synów i dwie córki. Broniek przyszedł na świat jako ostatni...”

Wielkość w sporcie nie przychodzi dziś bez trudu. „Obecnie nie wystarczy przebiec ileś tam kilometrów (a Malinowski przez dwanaście lat przebiegł więcej niż wynosi dwukrotny obwód kuli ziemskiej!). Długodystansowiec chcący odnosić wielkie sukcesy, chcący bić rekordy Europy i świata musi trenować na dużych wysokościach i... Właśnie. I stosować „koks”, tzn. zażywać najbardziej wymyślne środki dopingujące, a także przetaczać krew...”

— Podobno — zapytał Rumel Malinowskiego — Viren przed Monachium i Montrealem, gdzie zdobył cztery złote medale olimpijskie przetaczał krew. Czy to prawda?

— Viren biega płaskie dystanse. Ja z nim biegłem w siedemdziesiątym pierwszym na mistrzostwach Europy, gdzie zająłem siódme miejsce, a on był przede mną...

Nie bardzo chciał opowiadać a Viren. W końcu jednak udało mi się uzyskać kilka informacji o fenomenalnym Finie. Okazuje się, że Viren zawsze przed każdą olimpiadą trenuje trzy, cztery miesiące wysoko w górach. Po zejściu na dół lekarze pobierają mu krew (około jednego litra) i zamrażają. Na dwa tygodnie przed startem krew ta zostaje z powrotem wpompowana biegaczowi, co w rezultacie daje przewagę nad rywalami o około 15 procent na finiszu.

— Ja też biegam wysoko w górach. (To Malinowski). Tej zimy byłem trzy miesiące w Meksyku. Trening wysoko-

górski powoduje, że poziom hemoglobiny we krwi zwiększa się, co w ostatecznym efekcie pozwala na szybsze i łatwiejsze przyswajanie przez organizm biegacza tlenu. Hemoglobina to jakby taki przenośnik tlenu. Viren przypomniał sobie krew na dwa tygodnie przed startem olimpijskim, ma automatycznie przewagę nad rywalami.

— Czy pan też to robi?

— Obiecałem matce, że nigdy nie użyję środka dopingującego.

— Przecież Viren nie nie zażywa, nie ma nic wspólnego z farmakologią.

— Uważam, że przetaczanie krwi to też w pewnym sensie doping.

— To dlaczego trenuje pan wysoko w górach?

— Gdybym tego nie robił, nie miałbym najmniejszych szans rywalizacji z Murzynami. Przecież biegacze z Kenii i Etiopii od pokoleń żyją wysoko w górach. Poziom hemoglobiny mają od urodzenia wyższy od nas i dlatego, by im dorównać, musimy trenować w Meksyku, w Font Romeu w Pirenejach”.

Zimowy wyjazd do Meksyku pomógł zapewne Malinowskiemu w moskiewskim sukcesie. Ale jaka jest granica ludzkich rekordów? Może przed którąś tam olimpiadą za ileś tam lat sportowcy będą musieli trenować na Księżycu? Jaka będzie wtedy cena medalu? (Cena w najszerszym pojęciu tego słowa...)

8.VIII. „Sztandar Ludu” zamieszcza kolejną zagadkę fotograficzną (nr 14). Podpis pod zdjęciem brzmi: „Zamieszczone dzisiaj zdjęcie zostało zrobione w znanej miejscowości leżącej w województwie lubelskim — miasteczku, będącym mekką turystów, a przede wszystkim malarzy. Jak nazywa się to piękne miasteczko, co przedstawia, fragmentem jakiej zabytkowej kamieniczki jest ta płaskorzeźba?”

Brakuje: „Dla ułatwienia dodajmy, że nazwa tego miasteczka zaczyna się na literę „K”...”

Ale teraz poważniej. W tymże samym numerze pisma Józef Porębski pisze o wynikach kontroli, przeprowadzonej w pewnym przedsiębiorstwie. Sprawa zajmowała się Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej. Ujawniono kombinacje finansowe dyrektora i dwóch jego zastępców. Jeden z tych zastępców (Włodzimierz O.) potrafił w tym samym dniu być zatrudniony jako członek komisji w okolicach Puław jeździć w celach służbowych własnym wozem (kilometry!) aż za Zamość, tymże samochodem penetrować kilka gmin województwa lubelskiego, a ponadto jeszcze uczestniczyć w naradzie w Warszawie.

Trójka dyrektorów zastała odwołana ze stanowisk, musi oddać nieprawnie pobrane pieniądze, ponadto otrzymała kary partyjne.

Zastanawiam się, czy pisanie: „pewne przedsiębiorstwo”, Włodzimierz O., Bronisław M. i dalej Jan S. nie jest zbyt minimalistycznym wyrażeniem strony autora publikacji. Ostatecznie ludziom powierza się odpowiedzialne stanowiska, a oni zamiast stać na straży przedsiębiorstwa normalnie kradną. A w takim np. Zwierzyniecu (patrz „Tygodnik Zamojski” z 8 sierpnia) ob. Maria Skubik dostała 500 zł grzywny za to, że „od dłuższego czasu w Zwierzyniecu będąc właścicielem posesji nie dopełniła ciążącego na nią obowiązku trzymania psa na uwięzi”. I za tego pieska Kolegium ds. Wykroczeń nie tylko łupnęło ją po kieszeni, ale ponadto orzekło (również na koszt ukaranej) ogłoszenie tego i na łamach prasy.

Nie wiem, może był to szczególnie zły pies może nawet nie pies, ale wprost tygrys, który rzucał się na sąsiadów. Nie mniej wolę niekiedy psa niż... dyrektora.

M. A. Jaworski

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wasniewski

Redaguje zespół: Maria Beechrycz-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Henryk Pajak (kierownik działu literackiego), Maciej Podgórski, Waldemar Stepień (fotoreporter), Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Przeznaczony dla kraj przyjmująca Oddziały RSW „PRASA — KSIĄZKA — RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:

— do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze.

— do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki społecznej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄZKA — RUCH” w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄZKA — RUCH”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa nr 28 80-950 Warszawa, konto PKO nr 1531-71.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty w sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki w godz. 10-12 i piatki w godz. 14-15.

Wydawca: Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy RSW „Prasa—Książka—Ruch”, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93 dział publicystyki i literacki 375-35

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nr indeksu 3628

CZARNOLAS

TUTAJ Jan Kochanowski spędził ostatnie dziesięć lat swego życia. Oddał im siebie urzędy, które mu ofiarowywano, opuścił życie dworskie, założył rodzinę. W Czarnolesie powstały jego najważniejsze dzieła w języku polskim. Tu język ten doskonalili, nawiązał do swoich potrzeb, udowodnił, że można nim wyrazić wszystko, co przeżywa człowiek, równie dobrze, albo i lepiej, bo prawdziwiej, niż po łacinie. Czy coś z atmosfery odległej epoki pozostało w tym miejscu?

Już w roku 1720 sponiał i tak zbutwiały drewniany dworek oraz gospodarskie zabudowania, a 50 lat później uschła do końca uwieczniona w wersach lipa. Zostało tylko po niej oznakowane miejsce. Można mieć żal do późniejszych właścicieli, iż nie zadballi, aby to drzewo-symbol mogło w tym samym miejscu odradzać się z własnych nasion i sadzonek. Kilkanaście kamieni z fundamentów wspomnianych zabudowań uratowano i wmurowano w murek przy kaplicy. Jakie inne materialne ślady po wielkim lirniku można znaleźć w Czarnolesie?

Ponoć niejedno drzewo rosło w sporym parku zostało posadzone ręką Kochanowskiego. W zbudowanym w ubiegłym wieku pałacyku czynna jest teraz interesująca ekspozycja. Ekspozycja są atrapami, ale trafnie przedstawiają epokę i samego poeetę. Oglądać można fotel wyścielany kurdybanem, w którym siedząc, Kochanowski przypuszczalnie pisał swoje utwory. Największe zaufanie budzą jednak żelazne drzwi — właściwie spore wrota, których nie strawił pożar dworku. Ich klamki z pewnością codziennie dotykały ręce twórcy „Trenów” żony Doroty i ich córek. Widnieją na tych drzwiach herb Kochanowskich „Kotwin” oraz inicjały „JK”. Jakże to mało!

Wraz z pomnikiem dłuta Mieczysława Weltera, parkiem i pałacykiem, w którym mieści się muzeum Jana Kochanowskiego, można jednak coś niecoś przywołać z odległego czasu. Zwiedzający powinien tam pojechać jedynie wtedy, gdy jego myśli i uczucia przepelnią wiele sentymentu, a przede wszystkim poezja Jana z Czarnolasu, w której pomieszczył on największą prawdę o swojej epoce i najskrytsze tajemnice o sobie. Inaczej wróci rozczarowany.

TJ.



Fotografował

Waldemar Stępień



że ono w jakiś sposób samo organizuje sobie czas i rozrywkę. Te paluszki i dlonie coś ze sobą wyznajające, ruchy stóp, czy wreszcie to długotrwałe patrzenie na cokolwiek, co tylko się porusza i wydaje głos. Z rocznikami i półtorakami jest trochę inaczej, a dwulatki znów celują w tym samodzielnym organizowaniu sobie rozrywki. Jak są razem na podłodze, wśród zabawek, jest podobnie — może pan sam zauważyć, że rzadko bawią się we dwójkę. Jakby były jakimś atomami. Tak ocierają się o siebie, czasem zderzają ze sobą, ale...

— *Przejdźmy dalej...*

— No właśnie, to jest Małgosia. Ma półtora roku. Jest trzecim dzieckiem — wszystkie niesłubne. Ojciec alkoholik, w więzieniu. Starsza siostra Małgosia jest też u nas. Najmłodsze przy matce. Ten przed Małgosią to Darek. Prawda, jaki grubas? Dobrze się chowa. Ojciec niewidomy. Matka psychicznie chora; w Radecznicy. Jedyny kontakt posiadamy z babcią.

— Zbysio, Ojciec psychicznie chory, agresywny. Zwłaszcza wtedy, gdy nie chcemy go dopuścić do dziecka. A nie możemy. Mnie chciał pobić, siostrę przełożoną też. Jest na rencie i niech pan sobie wyobrazi, że jak zatęskni za Zbysiem, to potrafi przyjechać taksówką z Chelma i wrócić, chyba to kosztuje z półtora tysiąca. Z tej renty.

— Ela siedzi tak nieruchomo, bo jest w aparacie. Ma zwichnięty staw biodrowy. Matka ma 18 lat, panna, z domu dziecka.

— Marzenka, ta blondynka, pochodzi z normalnej rodziny, ale w domu jest bieda, więc matka oddała ją do nas.

— A to jest Marcin. Nieszczęśliwe dziecko. Ma plastikowy nos, rozszczep podniebienia, co powoduje ten jakby kaczki dziób buzi. O, proszę spojrzeć, ma też niedorozwój dłoni i stóp. Ale będzie ehodził. Po alkoholiku, Matka wyrzekła się dziecka. Całe dzieciństwo i młodość spędzi tu i w domach dziecka. I właśnie takie są najniebezpieczniejsze, te niedorozwinięte, opóźnione, z wadami. Nikt ich nie zaadoptuje, choć samotne małżeństwa czekają latami w kolejce. Na drugiej sali, w trzylatkach, pokaże panu dwie śliczne, mądre dziewczynki, ale matki są schizofreniczkami. Każdy, kto o tym się dowie, a informujemy o wszystkim, o najdrobniejszych szczegółach, natychmiast rezygnuje. Schizofrenia potrafi być dziedziczna, nikt nie może powiedzieć, czy nie odziedziczy się w potomstwie, nawet w trzecim pokoleniu.

— Albo niech pan spojrzysz na Basię, podniosę ją od stolika, no, spojrz na pana, nie, to nie tatuś, to pan, pan przyjechał do ciebie. Jakie prześlizgnięcie oczy, buzia, prawda? Ale cóż, ma niedorozwój kręgosłupa, kaczolapie dłoni i szpotawość nóżki. Kto weźmie takie kalectwo? Bo taki Robert, o, ten z dwukółką — pójdzie już wkrótce do jakiegoś małżeństwa. No właśnie, one uwielbiają głaskanie, dotykanie. Jak się jest wśród nich, trzeba mieć ręce w ciągłym ruchu. Więc co to ja mówiłam... Dziś jesteśmy trochę przemęczone. Przyjechała z Zamościa komisja, zdawaliśmy egzamin z behape. Więc ten Robert... Kto by powiedział, że jego ojciec jest na odwykonce, matka poszła w świat i zostawiła troje maleństw, sprawa w sądzie.

— Czy pana nie zdziwiło to opowiadanie? Nie? No jakże, każde znam po imieniu, proszę pytać, o które pan chce. Tu jest ich ponad sto, a w drugim pałacu kilkanaście noworodków. Wszystko musimy o nich wiedzieć. Taki Adaś, o, ten smutniutki, on zawsze tak patrzy. Ale nie, on nie jest opóźniony, jest normalny. Jego tatuś jest w więzieniu za chuligaństwo, pijaństwo. Matka przyjeżdżała tu czasem z jakimś innym mężczyzną, ale jest zawsze pijana i strasznie brudna, więc tylko przez tę szybę... Ile ona ma lat? Zaraz... dwadzieścia. Edytkę ma mamusię bardzo dzielną, jest pielęgniarką. Ma czworo dzieci, mąż odszedł, o, jest tu kilkoro dzieci bardzo dzielnych matek. Dzieci oddają z niedostatku, z konieczności, żeby zarobić na utrzymanie pozostałych. Zawsze je potem zabierają.

— No właśnie, Arkadiusz — matka chora, dzieci kilkoro, więc co miała robić. Ale matka Sylwii to właśnie to, co najgorsze. Miała 14 lat, gdy urodziła pierwsze dziecko. Teraz ma 18 lat i trzyletnią Sylwię. Czy można sobie wyobrazić coś gorszego? Nigdy nie odwiedza. Urodziła, a być matką, to różne sprawy... Pan ma dzieci? Przepraszam, ale idzie o to, że 14-15-latkę może urodzić nawet czterokilowego kłoca, ale jej osobowość, jeszcze dziecięcą, nie dorasta do macierzyństwa. Ją nie stać na uczucia dojrzałej matki. Taka boi się rodziców, porodu, skandalu, płacze, przyrzeka — to wszystko. Artur to co innego. Matka jest studentką, ostatnie lata studiów. Jej rozwój intelektualny, jej wiek — ma ze 22 lata — czy można ją porównać z tamtymi? Artura oddała na czas studiów, to tylko okoliczności ją zmusiły...

Siostra Eugenia oddała się pospieszonym truchtem do przedwieczornych obowiązków. Zmierzałem przyszywać kolorowych korytarzach, salkach pysznych dywanami, umywalkami i ubikacjami skrojonych na ludków, niewiele większych, niż te, które z koszałkoopalkowych bajd Konopnickiej z niesłychanym przepychem kolorów i epickim rozmachem scen przeniosła na ściany korytarzy i sal siostra Elżbieta. Czas kolacji. Przedtem na nocniczki. Dwie ubikacje z przegrodami, zza których ciekawie wycierają

dwa rzędy poważnych, badawczych spojrzeń. Opiękunka grupy trzylatków, Leokadia Pielan, strofuje Jolę za wyciąganie gumki z majteczek. „Dzieci, czy wolno wyciągać gumki z majteczek?” — Nie — odpowiada chór głosików. I dla odwrócenia uwagi od gumki Jolę pani Leokadia intonuje rzewny przebieg. Podchwytyją, ale oczy wciąż w tym samym kierunku, w stronę obcego.

Liczę na ciebie ojcze
Na twoją ojcowską dłoń
Liczę na każdy gest
Ufam i nie zawiodę się.

Ten, który stoi tu z notesem w dłoni, obarczony tym wielokrotnym ojcostwem, wycoufuje się na drugi koniec korytarza. Tu enklawa „Pszczółek” — dwulatki. Już po kupce, mycie rąk. Kollista fontanna, leniwe strugi wody spływają na podstawione lapki. Pan. Obcy. Sensacja. Przez szelest kropel przerywa się nieśmiało, pełne niedowierzania: „Tatus”.

„Jedzie Jacuś konikami!”

— Kto nie pojedzie konikami? Kto mi powie, jakie dziecko nie pojedzie?

— Ania...

— Dlaczego?

— Bo lezła fote...

— Taaak, bo rozlała wodę, a wody rozlewać nie wolno...

Budzą się same, jak na komendę. Żadne nie zaśpi. Skaczą. Zaczynają muzulmanić. Ubieranie. Ubikacja. Razem, wszystkie. Mycie rączek. Razem. Śniadanie od siódmej do ósmej. Mycie rączek. Razem. Na sedesy, razem. Z sedesów do umywalki,

ATOMY

mycie rączek. Drugie śniadanie, razem. Ubieranie na spacer, razem. Po spacerze rozbieranie, razem. Mycie rączek, obiad. Po obiedzie mycie rączek. Sedesy. Mycie rączek. Spać. Budzą się o czternastej trzydzieści, razem. Na podwieczorek. Po podwieczorku sedesy, razem. W dużej sali razem, do osiemnastej. Mycie lapek, razem. Kolacja. Mycie rączek. Do łóżek. Uciszenie. Światło. Noc. Razem, razem, razem...

Pani Leokadia sortuje ubranka dla zmienniczki, to do prania, to może być, tu trochę kupki, tam kaftanik zabrudzony wymiotami, tam guzik, tu gumka, stopy ciuzzków, dary zakładów, instytucji, kaftaniki, bluźniczki szyte ze ściepek bistoru, weluru, z bilgorajskiej „Mewy”.

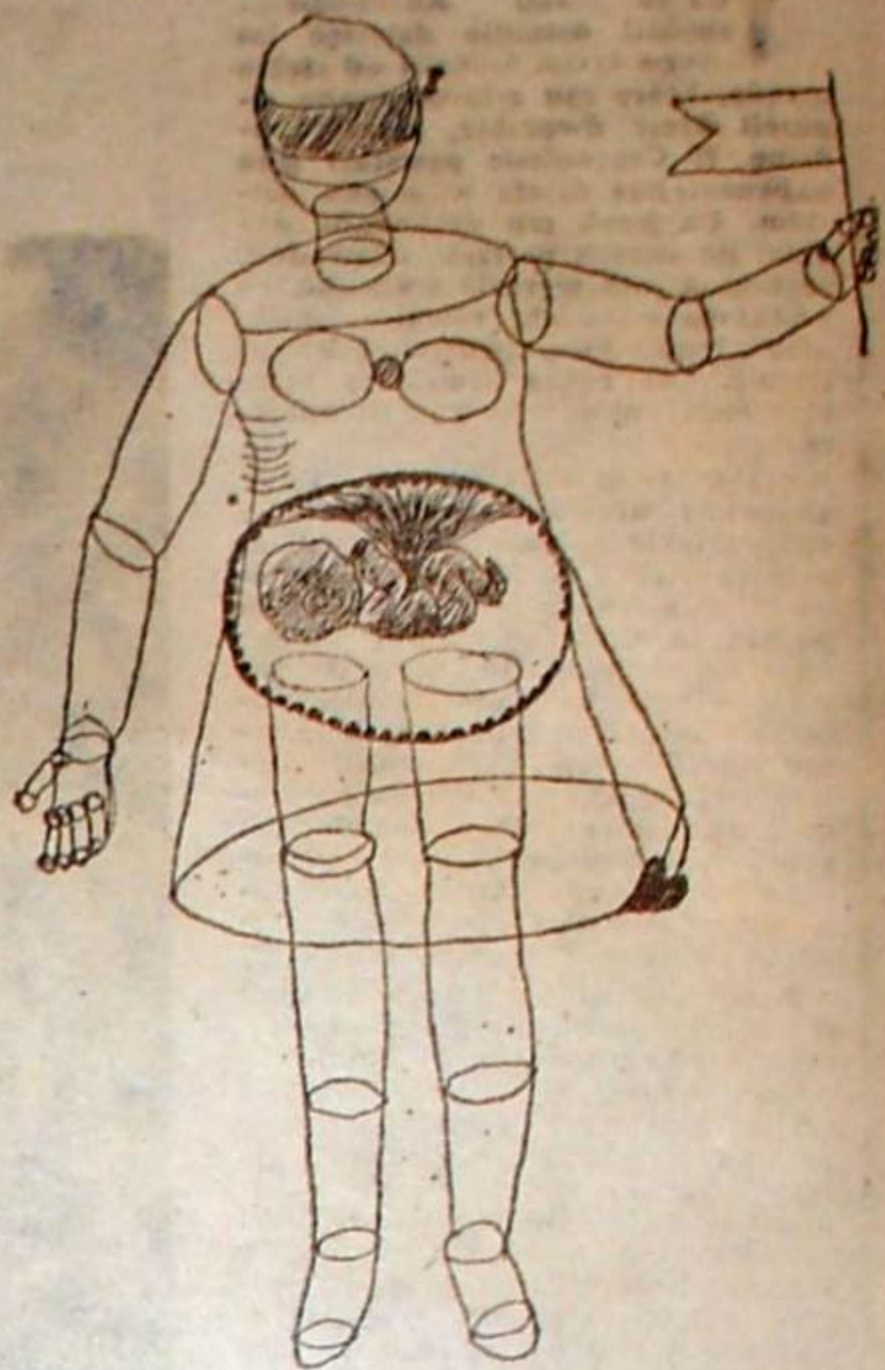
— Teraz dzieci są gorsze. Jestem tu piętnaście lat. Coraz więcej dzieci alkoholików, nienormalne, opóźnione w rozwoju, krnąbrne. Dzieci zabrane z domów są lepsze. Najgorsze są nasze, tu urodzone, tu wychowane. Ja nie wiem dlaczego. Może dlatego, że ich tu za dużo, że jedno przy drugim i nigdy osobno, z dorosłymi. Ja nie wiem. Ja prosta kobieta, ale siostra Zofia, ona po uniwersytecie, ona panu wszystko wytłumaczy.

W jakiej luce, między nieskończonością realiów i mycia lapek, odnajduje nas tutaj grupa „Pszczółek”. Wszystkie, bezwzględnie wszystkie otaczają ciałnym kołem tego pana z notesem. Już wiedzą, że to nie tatuś. W ciszy tak zgodnej i przejmującej, jakby stanowiły grupę głuchoniemych, wyciągają dlonie i dotykają. Dotykają, dotykają... Nosa, ust, czola, uszu, krawata, notesu, długopisu, dłoni, palców. Dotykają. Żadne nie zamierza niczego zabrać — wyjąć długopisu, notesu, znaczka w kłapie. Dotykają. Te, które docisnęły się do dłoni, trzymają je w swoich lekko, nieśmiało i nie przywłaszczająco, starają się dotykać jak najwięcej w jak najkrótszym czasie i dopiero ostre strofowanie przerywa tę milczącą scenę dotykania: odchodzą jednocześnie, razem, z tymi pytającymi spojrzeniami utkwionymi w oczach przybysza...

— Ach, to dotykanie dzieci starszych, muzulmanizm młodszych. To dziwi obcego, ale ma swoje uzasadnienie w bezruchu pozostawionego samemu sobie niemowlęcia, zaś u starszych — w wielomiesięcznym braku istoty bliskiej: słów, pieśń, wspólnej zabawy, rozmów...

Siostra kierowniczką jest absolwentką psychologii, ale prawdziwym uniwersyteciem stał się zakład. Ma niewiele ponad trzydziestkę, spojrzenie kobiety rozumiejącej wszystko — wszystko, co los już zgotował i co jeszcze zgotuje dziecku. W tym mrocznym wnętrzu pokoju otwierały się ludzkie dusze i kłoki, plakały 14-letnie idące na poród, milczały te, które przychodziły z trzecim porodem, gdy jeszcze tak niedawno, niemal równe dziewięć miesięcy temu gotowe były przysięgać, że nigdy więcej, za żadne obietnice, przysięgi, pieniądze, ładne słówka, pieśń.

— Brakuje nam siostr, brakuje ludzi przygotowanych, ale kto tu przyjdzie, do Łabuń, w szczerę polną, bez mieszkania, bez perspektyw. Ile szkód wyrządzają tym i tak już skrzywdzonym istotom niewprawne ręce i nieczule serca. Jest nas pięć, wszystkiego nie dopilnujemy. Skąd mogą wiedzieć, czy ten sok z wycisniętych pomarańczy wszystek



Hys. E. Inglot

wypijają dzieci? Te najlepsze kęsy, te kuksance, te „znajdy”, którymi częściej się maica zamiast ciepłym słowem. Ale nie wszystkie, o nie! Jest tu kilka pań, które życie oddały sprawie, dosłownie życie, bo taka na przykład pani Gienia Luchowska — trzydzieści pięć lat pracy u nas, anielskie serce, nie istnieją dla niej godziny dyżuru, jest zawsze, wszędzie, zawsze matczyna. Ale nie o tym chcę powiedzieć i proszę pana: żeby pan napisał wielkimi literami, obojętne gdzie i jak — że te kilkunastoletnie dziewczęta, przychodzące rodzic, ta nasza niby przemądrzała młodzież, to ona naprawdę o tych sprawach wie chyba mniej niż nasze matki i babki! Niech ci, którzy są odpowiedzialni za tak zwane wychowanie seksualne dzieci i młodzieży — rodzice, nauczyciele, poradnie — dowiedzą się wreszcie, niech się przyznają, że albo nie robią, albo tylko udają, że uczą. Te zakamarki psychiki i ciała są nadal okryte niewiedzą, milczeniem i fałszywym wstydem, a dowodem na to są tysiące dzieci zrodzonych tutaj właśnie z niewiedzy. A także z alkoholizmu, z dezintegracji rodzin, ze splęcenia życia duchowego rodziny, szkoły, lekcji, z gry pozorów, fałszywych fetyszów, z tej homogenizowanej kultury obrazków telewizyjnych. Ech, proszę pana! Milknę, bo widzę w oczach pana zdanie: zaofana, ortodoksyjna, prawiąca kazanie, jak do kolejnej kandydatki na matkę z ósmej klasy!

— Tu może urodzić każda, z całej Polski. Są czternastolatki i dwudziestoparolatki, które proszą o pomoc, są panny i kobiety wieloletnie, które chcą utrzymać pozostałe, noworodka nam powierzają. Są prostytutki i dziewczęta z dobrych domów, pokorne, nieśmiałe i są bezczelne, które z papierosem w ustach przychodzą żądać opieki. Przywożą nam noworodki z izb porodowych, szpitali, niemowlęta chorych matek, kobiet maltretowanych przez pijaków i dzieci maltretowane przez matki pijaczki. Niezależnie od stopnia winy, niewiedzy, upadku lub upodlenia, biedy, chorób psychicznych, alkoholizmu, prostytucji, słabości charakterów i wybujałych namiętności — zawsze, bezwzględnie zawsze jest w każdym przypadku jedna strona niewinna i neutralna — dziecko. Jesteśmy domem niechcianych, nieplanowanych, opuszczonych, nieszczęśliwych dzieci. Bez dziecka nie ma rodziny. Bez rodziny nie ma domu, wsi, miasta, społeczeństwa, nie ma świata, kobiety niezdolne do urodzenia dziecka gryzą palce po nocach, mężczyźni tracą cel życia, dostatek staje się bezsensowny i nienawistny...

— Ale same jesteście jakby znieczulone. Wszystkie, z kim tu rozmawiać, mówią o tym skondensowanym dramacie beznamiętnie, rzeczowo, jak o wysypce...

— Im dłużej tu pracują. Polecam właśnie panią Gienię Luchowską czy Helę Ziarkiewicz. One tu od wyzwolenia.

— W 1946 roku było nas trzy, dzieci pięcioletnie. Same robiłyśmy wszystko, razem z paleniem w piecach i noszeniem wody. Najpierw przeważały sieroty partyzantów, dzieci zamojskich wysiedleńców, niemowlęta żydowskie, cyganiatka, dzieci kobiet wracających z robot w Niemczech. Do 50 roku nie było tu ani jednego dziecka, które by miało obydwoje rodziców żyjących. Teraz jest inaczej — rzadko zdarzają się półsieroty, pełne sieroty prawie wcale. A jednak te dzisiejsze dzieci są tak samo nieszczęśliwe, jak i tamte powojenne, choć mają sterty zabawek, prześlizgnięte ubiorki, świetne żywienie, ciepło, czysto, opiekę.

Przeciw sposobikom

Dokończenie ze str. 1

Dawna posiadłość Szeptyckich w Labuniach dzieli się na dwa zespoły pałacowe — główny, będący niegdyś własnością Teresy Szeptyckiej, z pałacem XVIII-wiecznym, dwiema oficynami i 20-hektarowym parkiem dewastowanym teraz nie-miłosiernie przez miejscowych (grabina najlepsza na trzonki, grabie, dyszle) oraz odległy stąd o kilometr pałac ostatniego z Szeptyckich, zamordowanego przez hitlerowców na Rotundzie i pochowanego w parku obok żony, teściowej i kilkunastu siostr z gromadzenia Franciszkanek Misji Maryi, od 1922 roku prowadzących tu sierociniec. W pałacu ostatniego z Szeptyckich mieści się oddział starszych dzieci, od 6 miesięcy do 3 lat. W pałacu głównym — oddział noworodków. Tu przebywają noworodki do zóstego miesiąca. Tu przebywają, wraz z nimi, ich matki — do czasu karmienia piersią. Tu również — oczekujące na rozwiązanie.

Sale noworodków. Przeszkłone kajuty, ta sama sterylna czystość. „Niezatrudnionym wstęp wzbroniony”. W nogach łóżeczek — imię i nazwisko, data urodzenia. Imiona dzieci, nazwiska matek. Franio, 4 miesiące. Jest źle, zapowiada się niedorozwój — jajogłowość, ciemniaczko już przedwcześnie twardo — znak charakterystyczny. Marcin — świetny, bystro patrzący bobas. Matka panna, uczennica. Sylwia — matka panna. Beata — przywieziona ze szpitala — o matce nic nie wiadomo. Michał — matka uczennica 8 klasy. Marta — matka panna, szkoła średnia. Teraz leży tu 16 noworodków.

Na dole — sypialnie dla matek. Czy chciałyby porozmawiać? O czym? Pertraktacje prowadzi siostra Małgorzata, położna. Godzą się: Jadwiga, Bożena, Ryszarda, Małgosia. Pozostałe wybrały pilny spacer po parku. Idzie jak z kamienia. Tak, nie, wiedziałam, żaluję, nie wiem, nie myślę o tym. Mijają minuty. Czy to prawda, że nie wiedziały? Bożena — nie, Ryszarda — tak. Małgosia, druga klasa zawodówki — wiedziała, ale nie dokładnie — że to nastąpi gdzieś w środku „cyklu”? Oni: jeden w wojsku, drugi — uczeń, trzeci — „kolega”, czwarty — „mój chłopiec, kocham go”.

Właśnie: „kocham”. Bożena — wygoniłam, nie chcę go znać, nie kocham. Ryszarda — nie, nie z tego nie będzie, pracuje na Śląsku. Małgosia — jest w wojsku, nie wiem. Jadwiga — oczywiście, zaraz po wojsku pobierzemy się!

Dlaczego tu przyszły? Wstyd. Ukryć się. Przeczekać. Podchować dziecko. Tanio. Darmo. Opieka, wyżywienie. Jak „ich chłopcy” zareagowali na ciążę? Kazali przerywać. Nie mieli zdania (Bożena). Kategorycznie zabronił przerywać (Jadwiga).

Rodzice. Matki: płacz, popłoch, wymyślanie (Małgosia), co teraz robić, jak ukryć sprawę przed środowiskiem? Nie zgadzanie się na zabieg. Ojcowie spokojnie, po męsku, rzeczowo. „To niech już urodzi!” Czy cieszą się dziećmi? Czy zaborą? Tak. — To dlaczego tyle dzieci zostaje potem, gdy przychodzi czas zabierania? Bo... szkoła, praca... Babcia nie chce bawić... Jak się pokazać we wsi? Gdy się powiedziało, jak na przykład Ryszarda, że pojechała na Śląsk do szkoły?

Jasło 2.II.1979 r.

Szanowna Siostrze Kierowniczko!
Pragniemy napisać parę słów o naszej adoptowanej Ewuni, która wniosła do naszego domu wiele szczęścia i ruchu. Z nowym domem i nami oswoiła się bardzo szybko, tym bardziej, że towarzyszyły jej zabawy z moją dwójką siostrzeńcy, którym bynajmniej nie ustępuje w zdobywaniu zabawek. Podróż do Jasła niezbyt dobrze znieśli, trochę zmęczyły ją wymioty. Początkowo były kłopoty ze spaniem, nie chciała spać w łóżeczku sama, zasypiała trzymając kogoś z nas za rękę, teraz pomaga sobie sama w zaśnięciu śpiewaniem. Na zakończenie bardzo prosimy o przyspieszenie sprawy w sądzie...

Budgoszcz 8.04.79 r.

Drogie Siostry!
Pragnę w kilku zdaniach podzielić się radością, jaką wypełniony jest nasz dom od czasu obecności w nim Roberta. Robert jest uczniem klasy zero. Nauka nie sprawia mu kłopotu, jest obowiązkowy, chociaż zdajemy sobie sprawę z tego, że kończy lata w listopadzie, więc musi wkładać więcej wysiłku, żeby dorównać kolegom ze stycznia, lutego. Najbardziej to było widoczne przy usamodzielnianiu — wwiązaniu sznurówek itp. Denerwował się, że koledzy już to potrafią, a on nie, ale wszystko we właściwym czasie opanował. Poza tym cały czas rozmawia, o coś pyta, wszystkiego jest ciekawy, w przedszkolu jest bardzo aktywny, chociaż przedszkole traktuje jak obowiązek i bardzo cieszy się, gdy zbliża się niedziela lub wolna sobota. Jest bardzo lubiany przez dzieci i nauczycielki, ma dużo inwencji, jednym słowem, jest szczerbiocącym szczęściem. W dalszym ciągu aprobuję pieczęty, czego mu nie szczędzimy, chociaż moja mama mówi, że on jest i tak niezwykłe rozwinęty z uwagi na tę sytuację w tym względzie. Całkowicie zawojował dziadka i ostatnio już podkreśla, że on jest mężczyzną, a tato jest tak zachochany w synku, że nie można tego nawet opisać. Nasza radość jest ogromna, mamy w życiu cel patrząc na radosną buzię naszego synka. Kończąc łączę wyrazy szacunku oraz życząc pomyślności i satysfakcji w trudnej i odpowiedzialnej pracy...

Henryk Pająk

(Reportaż brał udział w ogólnopolskim konkursie „Rodzina polska”).

odchodzenie od nowoczesności technologicznej, nie ulega na przykład wątpliwości, spadek zainteresowania serigrafii. Widzi pan, dzieło sztuki powstaje w procesie pokonywania oporu tworzywa, w trakcie odkrywania jego własności, czasami — tajemnic. To, co łatwe, nie prowokuje autentycznego działania, nie wyzwala ukrytych energii, a tymczasem maszyny do wykonywania serigrafii są w Stanach Zjednoczonych już tak doskonałe, że bawią się nimi dzieci szkół średnich. Ja cenię techniki klasyczne, wymagające rzetelnej roboty, nie znoszę natomiast masowej produkcji graficznej.

IJK: — Czy to znaczy, że nie wprowadza pan własnych innowacji technicznych do litografii? Prace, które widziałem na pańskiej wystawie indywidualnej w zamojskim MDK, a było to w lipcu, zdają się o czymś innym informować...

TL: — Faktycznie. Należę do grafików, którzy wprowadzili do praktyki tworzenie tzw. multikolor, czyli wielokrotne drukowanie koloru na jednej planszy. Obecnie wykonuję multiple, moja najbliższa wystawa w nowojorskim Whitney Museum...

IJK: — „Świetne miejsce, pozazdrościć mogą najwybitniejsi artyści...”

TL: — ...składać się będzie z kompozycji liczących po 25 segmentów, a posiadających wymiary 3,5 m na 2,5 m. To będą chyba największe prace, jakie zrealizowano w dziejach grafiki. Bez względu jednak na takie lub inne zabiegi warsztatowe nigdy nie przekraczam granic techniki litograficznej, opartej na własnoręcznej pracy. Nie mam też zrozumienia dla tych artystów, którzy podpisując reprodukcje swoich prac, domagali się, z powodzeniem zresztą, uznania ich za dzieła oryginalne. Honorując czystość gatunku zdaję sobie przecież sprawę, że całkowite negowanie nowości technologicznych w sztuce byłoby czymś obskurantkim i jałowym — podobnie, jak ich bezrefleksyjna, bezkrytyczna akceptacja.

IJK: — Ale co pan robi z tymi wielkimi kompozycjami po zakończeniu wystawy w budynku przy Madison Avenue? U nas takie prace trafiają najczęściej do pracowni autora, a w najlepszym przypadku — do magazynów muzealnych, no, do stałych ekspozycji tych placówek.

TL: — Moje multiple mają już zapewnione miejsce w kolekcjach banków i innych przedsiębiorstw handlowych, zlokalizowanych na ogół w rozległych hallach, przez które przewijają się tysiące ludzi. Dodam przy okazji, że litografie mojego autora znajdują się w 150 muzeach różnych krajów świata.

IJK: — Po pobycie w Polsce planuje pan jeszcze podróż po Europie. Co w tym czasie będzie działo się z katedrą grafiki, którą założył pan i prowadzi w uniwersytecie Maryland?

TL: — Po sześciu latach pracy na uczelni amerykańskiej przysługuje mi roczny urlop, z którego właśnie korzystam. Nie zakłóci to, oczywiście, zajęć na uniwersytecie.

IJK: — A ile godzin tygodniowo pan wykłada?

TL: — Dwanaście na dwóch kursach dla studentów stacjonarnych oraz trzy godziny na

kursie dla osób pracujących w muzeach lub artystów, którzy pragną specjalizować się w fotolitografii. W sumie tydzień mojej pracy obejmuje 15 godzin.

IJK: — Proszę scharakteryzować program zajęć na kierunku przez pana prowadzonym...

TL: — Studenci początkujący muszą opanować technikę pracy na płycie litograficznej, potem poznają fotolitografię, a następnie zdają egzamin na kurs magisterski, który trwa trzy lata i uprawnia do starania się o stypendium. W tym okresie każdy ze słuchaczy musi urządzić dwie własne wystawy rocznie, broniąc ich stosownym komentarzem przed specjalną komisją, która nie ma ochoty na stosowanie taryfy ulgowej. Nielatwo u nas zostać magistrzem.

IJK: — Jak przedstawia się wyposażenie techniczne katedry?

TL: — Wydział sztuki mieści się w budynku nowym, wzniesionym za 10 milionów dolarów, a nasz kierunek ma do dyspozycji 15 pras litograficznych, elektrycznych i ręcznych, studio fotograficzne i pracownię do wywoływania płyt fotolitograficznych. Nie tak dawno temu działaliśmy jednak w trudnych warunkach, konkretnie — w baraku, więc w końcu zatrułem się chemikaliami. Ale podczas choroby wykonałem 300 kolorowych rysunków, które recenzent „New York Times’a” uznał za „coś fantastycznego”. Dodam jeszcze, że nasz uniwersytet zatrudnia wielu wybitnych artystów amerykańskich.

stylucje artystyczne zatrudzczyli się o pozyskanie dla USA wielu znakomych grafików z całego świata; z Japonii Holandii, Włoch, Anglii, także z Polski. Ameryka chciała dogonić Europę i w tej dziedzinie miała potężne środki materialne, więc postawiła na swoim, o czym świadczy twórczość Rauschenberga, Warhola, Oldenberga, Dina...

IJK: — Podobno jest pan członkiem czteroosobowej komisji do spraw rozwoju kultury Waszyngtonu, działającej przy urzędzie prezydenta USA...

TL: — Tak.

IJK: — A jak pan trafił do Zamościa i po co pan tam zrobił wystawę swych interesujących litografii, łączących elementy abstrakcyjne z figurальnymi, intelektualną dyscyplinę z romantyczną niemalże atmosferą, doskonałą warsztat z prowokowanym przypadkiem?

TL: — W 1967 roku wraz z dwójkiem kolegów wykonałem grafiki o tematyce zamojskiej, bo lubiłem to zabytkowe miasto. Kiedy podczas występu w telewizyjnym „Tele-Echu” wspomniałem o tym prezydentowi Zamościa, obecny gospodarz miasta od razu zaproponował mi urządzenie wystawy w renesansowej scenarii, za co jestem mu tylko wdzięczny.

Nadał odczuwam sympatię do Zamościa.

IJK: — Dziękuję za rozmowę i mam nadzieję, że w przyszłości uda nam się jeszcze porozmawiać; może o pańskich kon-



Tadeusz Łapiński

IJK: — Właśnie, jak pan ocenia współczesną grafikę Stanów Zjednoczonych?

TL: — Do znaczenia w świecie sztuki doszła stosunkowo późno, bo w latach sześćdziesiątych, rozwijając się przecież od tego momentu błyskawicznie. Nowoczesny przemysł z miesiąca zaopatrywał ją w warsztaty: w specjalne papiery, farby, prasy, urządzenia fotograficzne, a in-

taktach z Jorge Amado i Niemeyerem, może o tym, jak pan pracował w studio przy 41 West 72 Street w Nowym Jorku, może o Evie Pope, energicznej patronce artystów polskich podróżujących do USA, z którą także miał pan okazję się zetknąć.

Złota obora

Bronisław Kowalski

LUDZIE w Bożydarze się dziwni:
— Co jest, że u Hassa na budowie nie piją?

I co było, gospodarze do dziś nie wiedzą. Gdy przyszło do wianka, to na siedmiu ludzi poszło pół litra. Uwierzcie, czy między bajki włożyć?

Najgorsze dla rolnika, gdy rzemieślnicy zaczęli pić. Tydzień w ciągu, dzień w robocie. A powiedz coś, to pójdą do innego pracować, twoje zostawiają. Dziś rzemieślnik na wsi jest pan. Jego się prosi, a nie on.

Rzecz jasna, można nie prosić i zlecić robotę jakiejś spółdzielni. Mieczysław Hass miał taki wybór, ale nie skorzystał. Płacił dniówkę murarom i stolarzom po półtora tysiąca dziennie.

— Firma zrobiłaby taniej, ale ile to by trwało?

Zapłacił sto dniówek. Rzemieślników miał dobrych. Jednych znalazł trzydzieści kilometrów od Bożogodaru, drugich nieco bliżej. Stolarz zamówił się na dłużej u Hassów, bo zlecono mu wykonanie ram drewnianych do okien. Kupić można było żelazne, ale kto buduje mądrze, robi ramy drewniane, a tych się nie kupi.

Budowali oborę.

Dużą, nowoczesną i drogą.

W Urzędzie Gminy planów takiego budynku nie było. Starali się urzędnicy, głowili, ale się nie wystarali. Pracownia w Krakowie nie chciała przysłać jednego egzemplarza planu, robią to hurtowo. A tu już Hass podpatrzył w sąsiedniej

kolonii, jak wygląda nowoczesność, powiedział sobie, że to jest coś i musiał mieć podobne, uparł się. Uparł się wszyscy w rodzinie.

Przed laty budowali dom. Wielki. Z rozmachem równym pragnieniu: — Żeby nikt się z nas nie śmiał, że nie mamy.

Dom stoi umeblowany nie tanio, z palmami w pokojach pod sufit. Spełniona ambicja rodziców, starszych już dziś ludzi, ale młodzi, córka i zięć, ułożyli własne plany:

— Pokazać, że nas stać zrobić coś, czego kogoś innego nie stać zrobić.

I wymyślili mleczarstwo. Coś nowego w gospodarstwie. Do zeszłego roku Mieczysław Hass był znany w okolicy raczej jako chmielarz, badał czy nie pierwszy tu zaczynał z chmielom. Od pół hektara, a dziś ma prawie pięć razy tyle. Zielony mur — rozpięta szerokim skrzydłem plantacja tuż za obejściem. Tak lekko licząc sześćset tysięcy rocznie na czysto.

Starsi gospodarze, państwo Hassowie, pewnie by się już nie zdecydowali na zmiany. Z chmielu było lekko żyć. A młodzi Juszcakowie, nie po to rzucili państwowe posiadki w Zamościu, żeby przy dziecięciu krowach tyrać na okrągło widłami, nosić nieustannie wiadra z wodą, rozkładać słomę w belkach z ogromnych ilościach, czyścić upaprane zwierzęta, marnujące paszę wdeptywaną w podściółkę. I tylko by mogli zarządzić, że sądziedzi mają łżej w ciepłarniach, że inny w oborze guziki przyceiska, oglądać w telewizji przedowników.

Kiedyś się dziwno Hassom:
— Po co wam łazienka w domu? Na wsi?

A oni mieli swoją kalkulację: „Czy człowiek na wsi gorzy od tych z miasta? Tylko tam trzeba łazienek?”

Mieczysławowi Hassowi dyrektor banku nie uwierzył, że ma zamiar budować oborę.

— Niech pan nie czaruje — mówił do Hassa w przekonaniu, że ten myśli magazyn na chmiel postawić z kredytu przeznaczanego na obory, chlewnie, owczarnie itp. Przekonanie brał z płotek. A przecież Hass już młodym uwierzył, że trzeba w produkcji na mleczarstwo iść. Kredyt miał być milionowy. Drugi milion na kosztą mieli własny.

Oczekiwanie na kredyt i szukanie planów — zdobyli je wreszcie u kogoś w Suchowoli, nie tak znów daleko, że trzydzieści kilometrów — zajęło rok. Wreszcie bank ugął się pod perswazją autorytetów w gminie — urzędu i komitetu. Mogła ruszyć budowa.

Teraz następuje rzecz podobna opowieściom o półlitrze na siedmiu: budowę skończono w sześć miesięcy. Od maja do listopada. Poszło piorunem. Spytałem więc Mieczysława Hassa, ile dał łapówek, że mu tak szybko postawiono tak wielką oborę.

— Nic — odpowiedział i zarzekł się, że to prawda.

Raz tylko dał, robotnikom przy załadunku, ale oni i tak potem pomogli, więc niby odpracowali i nie liczy się.

Główna sprawa — materiały. Gospodarze sypia opowieściami, w które Edgar Allan Poe by nie uwierzył:

— Nigdy nie czekaliśmy ani jednego dnia na materiały. Jak było umówione, to umówione. Co w magazynie mieli, to nasze.

W magazynie — Wojewódzkiego Zarządu Inwestycji Rolnych w Za-

mościu. WZIR w zeszłym roku nadzorował 233 budów rolniczych, samych obór 160. Dla Hassa materiały były z rezerwy: eternit, rury ocynkowane, belki. Na termin i ta obora zdobyła „Złotą Wiechę” wśród budynków postawionych w 1979 roku. Dożytkowa wlecha. Ma być zgłoszona do konkursu ogólnopolskiego.

To przecież wyraźna faworyzacja. Od czego zależy?

— Dużo chęci rolnika musi być — mówił przekonującym tonem przedstawiciel WZIR.

A który rolnik nie ma chęci szybko i solidnie budować?

— Ale jeszcze zależy od czystości w gospodarstwie, od porządku. Budynek możemy nadzorować, ale jak nie ma porządku na budowie, to wszystko wolniej idzie.

Od kobiecej strony obraz budowy miał się inaczej:

— Nie było tak słodzikotko, mówią panie. — Nasi mężczyźni się spracowali, ale my więcej. Piętnaście osób było na utrzymaniu. Sięgnąć myślą wstecz, aż ciarki przechodzą. Obie pracowałyśmy w kuchni, a to było gotowanie na skalę gastronomiczną. Wiadomo, że jak murarz się udźwiga, to stół musi być suty.

W listopadzie ub. r. krowy stały w nowej oborze. Dwadzieścia trzy sztuki, dwa razy więcej niż przedtem, ale roboty przy nich dwa razy mniej.

Młodzi państwo Juszcakowie nie będą tak ciężko tyrać, jak rodzice. Pan Hass może się teraz częściej ubrać w garnitur i założyć krawaty, ale urobione ręce go zdradzą. On, gdy po wojnie stanął na tej ziemi, zaczął od wbijania kółków. Oni mówią o estetyce i o tym, że do obory wchodzi w pantofelkach. Niemal zaczęli od „Złotej Wiechy”, ale Mieczysław Hass widzi i poprzednie lata:

WOLNA TRYBUNA

Poniżać gdzie należy gdzie trzeba wynosić

Adam Andrzej Witusik

W POLSKIM społeczeństwie w ciągu dwu ostatnich stuleci historia odgrywała dużą rolę, bez wątpienia większą niż w innych krajach. Czas niewoli i okres okupacji hitlerowskiej, kiedy to nauczanie dziejów ojczyźnych odbywało się potajemnie i było ono ważnym elementem umacniania, zagrożonej brakiem własnego państwa, świadomości narodowej, wywyższenia autorytetu historii niezwykle wysoko. Stało się to jednak kosztem pewnego zaniedbania starań o obiektywną prawdę historyczną. Historia pisana ku „pokrzepieniu serc” i traktowana jako „mistrzynie życia”, traciła częściowo swój właściwy charakter nauki, która pragnie jak najwierniej odtworzyć istniejącą kiedyś rzeczywistość, nauki wyjaśniającej tok dziejów, ukazującej związki różnych stron życia, analizującej byt społeczny we wszystkich jego aspektach.

Dzieje Polski są, jakie są, poplątane i powikłane, okresami pełne sprzeczności. Lecz barwić i fryzować ich nie potrzeba. Jak matkę i ojca dzieci szanują i kochają nie dlatego, że są bardzo piękni lub wybitnie zdolni, ale że są to ich rodzice, tak i historię odczytują ze wszystkim, co w niej dobre i złe, lub heroiczne i podle, społeczeństwo powinno kochać i rozumieć, bo są to jego dzieje.

Szacunek i miłość do dziejów ojczyźnych zaliczyłbym do naczynych czynników spajających naród, kształtujących właściwe postawy społeczne i obywatelskie. Rolę tę spełnia historia jednak tylko wtedy, gdy nikt nie pragnie wykrzywić wiedzy, zamazywać jedne sprawy, a barwić inne. Jeśli się nie spełnia tych warunków, to wcześniej czy później rodzą się w umysłach stany zakaźne: groźny nihilizm i równie niebezpieczne samouwielbienie.

Ta przydługa może refleksja nasunęła mi się w związku z niedawną sesją naukową, poświęconą 400-leciu Zamościa, a zwłaszcza niektórymi publikacjami ukazującymi się na łamach „Tygodnika Zamojskiego”. Na sesji w Zamościu wybitny znawca kultury staropolskiej prof. Janusz Tazbir wygłosił błyskotliwy, gruntowny i rzeczowy referat pt.

„Legenda Jana Zamojskiego”, rozprawiający się z mitami, których sporo narosło wokół fundatora Zamościa, kanclerza Jana Zamojskiego. Już na sesji podniesiono larum, by nie tykać świętości. Między innymi uczynił to inż. Zdzisław Drankowski, który jako nieprofesjonalista, najmniej chyba miał w tej materii do powiedzenia. Mało tego, po opublikowaniu na łamach „Tygodnika Zamojskiego” referatu Tazbira, w kolejnym swym numerze „Tygodnik” zamieścił „replikę” Zdzisława Drankowskiego, który poucza, moralizuje, ocenia i żąda: „Czy jest... rzeczą konieczną wyciszenie legendy albo zdzieranie pałany ze starych pomników?” i kończy swe rozważania pochwałą Jana Zamojskiego, pochwałą „wyssaną z palca”, z marzeń, a nie sformułowaną na podstawie badań źródłowych: „Dzisiaj widzimy w nim wielkiego polityka i humanistę dbającego o triumf sprawiedliwości i powszechne dobro. Wyzuty z materialistycznych ambicji i lokalnych przesądów, patriotą i przyjaciel ludzi, wybitny Europejczyk Jan Zamojski był wcieleniem szlachetnego ducha polskiej myśli politycznej w

XVI wieku”. Wincę za ukazanie się nikomu raczej niepotrzebnych przemysłów Zdzisława Drankowskiego ponosi redakcja „Tygodnika Zamojskiego”, która — powiedzmy uczciwie — od samego początku nie panuje nad publikacjami z zakresu historii, otwierając, nig tak znów rzadko swe łamy dla artykułów nieodpracowanych i z wieloma błędami.

Aby nie być gołosłownym, oto fragment eseju Bogumily Sawy-Sroczynskiej, drukowanego w czerwcowym numerze „Tygodnika Zamojskiego”: „Pierwszą panią na Zamościu” była dziedziczka Kraśnika Anna z Tęczyna Ossolińska herbu Topór. Kiedy umarła bezpotomnie, poprosił hetman o rękę osiemnastoletnią księżniczkę Katarzynę Radziwiłłówną, córki ks. Mikołaja i Elżbiety Szydłowskiej. Zaślubiny w 1578 roku uświetniła specjalnie napisana na tę okazję przez Jana Kochanowskiego — „Odprawa posłów greckich”.

Przystąpmy do rozbioru krytycznego owego fragmentu: 1) pierwszą żoną, a nie „panią na Zamościu”, bo miasta Zamość jeszcze nie było,

lokowano go w 1580 r., była nie dziedziczka Kraśnika (należał on wówczas do kogoś innego), lecz chorążanka lubelska Anna Ossolińska; 2) po raz drugi ożnił się Jan Zamojski nie z Katarzyną Radziwiłłówną, córką Mikołaja i Elżbiety Szydłowskiej, lecz z Krystyną Radziwiłłówną, córką Mikołaja i Elżbiety Szydłowieckiej; 3) zaślubiny odbyły się nie w 1578 r., lecz 29 grudnia 1577 r. w Białej Podlaskiej, majątku Radziwiłła „Sierotki”, brata Krystyny, i nie na owych zaślubinach wystawiono „Odprawę posłów greckich”, lecz na uroczystościach weselnych, które fełowano w Ujazdowie, podwarszawskiej rezydencji królewskiej; 4) Jan Kochanowski nie napisał specjalnie na tę okazję „Odprawy posłów greckich”, lecz ją po prostu dokończył; 5) Zamojski, żeniąc się z Krystyną Radziwiłłówną, nie pełnił urzędu hetmana, ale podkanclerzego koronnego, hetmanem został w 1581 r. już po śmierci Radziwiłłówny. Takich i poważniejszych błędów merytorycznych jest sporo w niektórych szkicach historycznych drukowanych na łamach „Tygodnika Zamojskiego”.

Dajmy spokój tym kwestiom, przejdźmy do spraw innych, do referatu Jerzego Kowalczyka pt. „Jan Zamojski w dziejach kultury polskiej”, wygłoszonego na wspomnianej sesji w Zamościu, a który ukazał się w lipcowym numerze „Tygodnika Zamojskiego”. Kanclerz i hetman Jan Zamojski to niewątpliwie postać wielkiego formatu, ale postać ogromnie złożona, wieloznaczna i dyskusyjna. Był porywczy i wyrozumiały, zachłanny i szczodry, wielkoduszny i apodyktyczny, wymagający, pracowity, twórca. Scierały się w nim krawcowo różne cechy, jakie składają się na osobowość człowieka wybijającego się ponad otoczenie. Miał coś w sobie z demagogą i despotą. Niezwykle ambitny, sięgał wysoko, nigdy nie poprzestawał na małym. Jak rzadko kto dbał o przestrzeganie prawa, mniej natomiast o sprawiedliwość. Nie był człowiekiem o wielkiej bezinteresowności czy czułym sercem, świętym, do którego na klęczkach należałoby się modlić. To nie zapominajmy, że tak sławiony przez wszystkich Zamość miał być dla Jana Zamojskiego źródłem dochodów, i to sporych. Inspirowana przez kanclerza twórczość literacka

— Dwadzieścia lat temu trzeba było robić to, co dziś. Byłoby rolnictwo.

Ponad milion kredytu spłaci się chmielem. Dwa zbiory pójdą na to. Zbiór chmielu trwa dwa, trzy tygodnie. U Hassów prawdziwe żniwa. W tym czasie pracy starcza na całe dnie. Nie dosypiają wtedy. Tydzień opóźnienia i spada klasa chmielowych szyszek. Ludzie padają ze zmęczenia. Elektryczna dojarka w oborze i reszta mechanizacji jest wówczas zbawieniem. Inaczej by się nie obrobili. W zeszłym roku pilnowali budowy i ucierpieli zbiory chmielu. Już nie zdołali wszystkiego dopilnować.

Za chmiel dostają z browaru paszę dla krów — miłoto, czyli przetworzony jęczmień z produkcji piwa. W roku deszczowym, jak ten, gdy siano moknie, a kukurydza nie rośnie, pasza jest najważniejsza.

— Nie sztuka postawić krowy, ale czym żywić?

Przy zbiorze siana liczą się w tym roku wszystkie dni. Niedziela, nie niedziela.

— Jak idzie deszcz, a stoi siano, to i obiadu się nie je. Gdy w mieście pada, nie wyjdzie się na spacer, a na wsi inaczej się patrzy.

Ale kiedy sobie bilansują wysiłek sprzed unowocześnienia gospodarki i terazniejszy, wychodzi im, że pięć, dwa lata temu mieli znacznie więcej pracy.

— Rozbieżność jest taka, że trudno porównać. Ale dziś trzeba więcej myśleć, żeby się nie wysilać na darmo.

Wysyłanie się na darmo to wyjazdy do urzędów. Bezustannie. Wielokrotne. Wracanie z niezym, albo z obletnicami.

— W niektórych środowiskach traktuje się rolnika per noga, a nie jako żywiciela — uzala się córka pana Hassa.

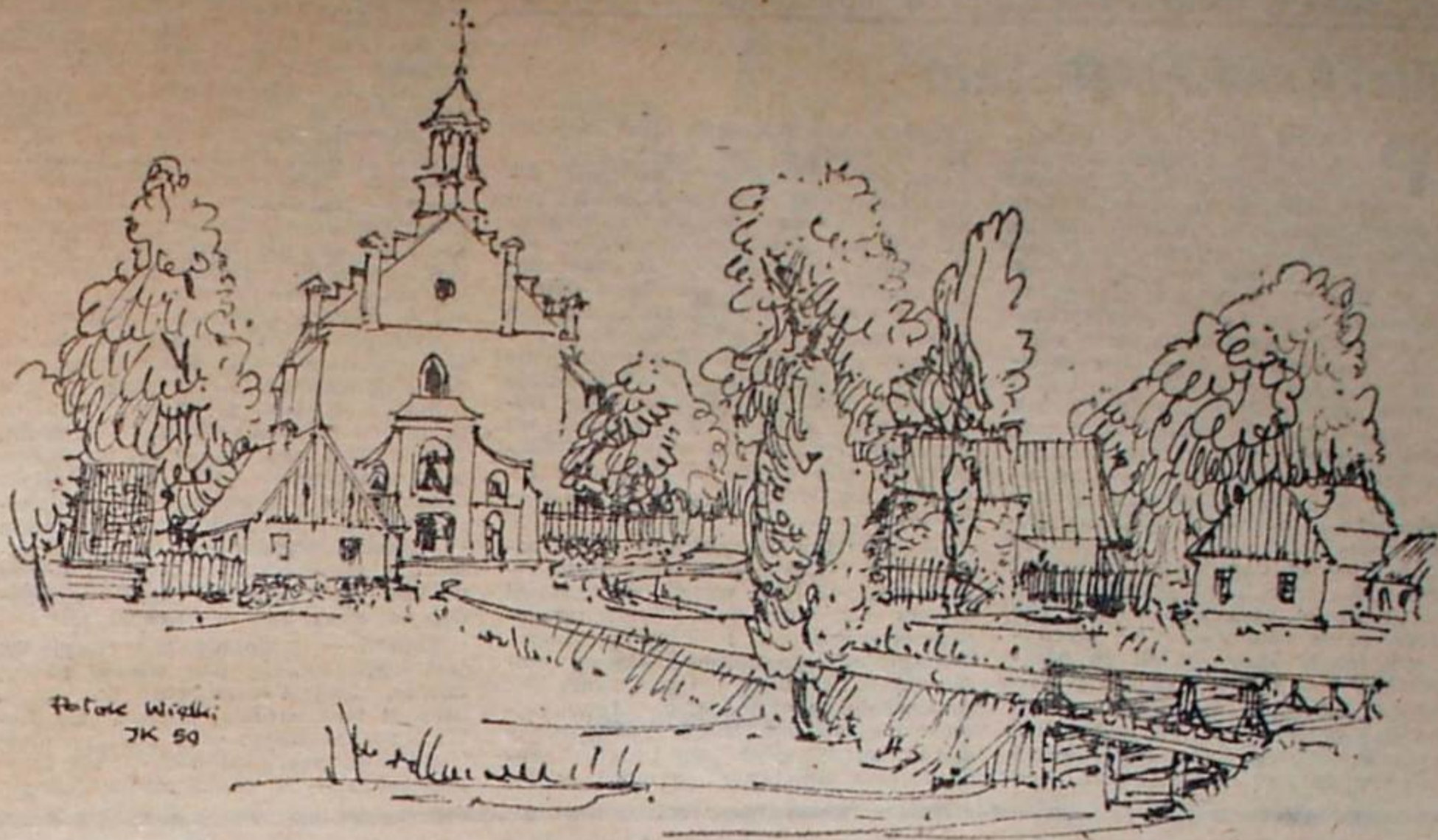
W „ziotej” oborze wiszą w oknach firanki. Sielankowy obrazek.

miała utrwaląć jego pozycję w państwie, podnosić prestiż społeczny. Podobnie rzecz się miała z założeniem Akademii i drukarni, z utrzymywaniem na własny koszt młodzieży na studiach itd. Ponadto powołana do życia Akademia miała wpływać na rozwój gospodarczy Zamościa. A zatem nie czysto tylko osobiste zainteresowania, potrzeba wewnętrzna, lecz przede wszystkim względy polityczno-propagandowe, a częściowo także gospodarcze, decydowały o uprawianiu przez Jana Zamoyskiego mecenatu. Plus tego ten mecenat nie kosztował go znów aż tak wiele a i pieniądze, które wydatkował, były przecież wyciśnięte z chłopa, i każdy, kto pisze o mecenacie Jana Zamoyskiego, powinien o tym wszystkim pamiętać.

Podnoszony przez Jerzego Kowalczyka do wyżyn rewelacji pomysł Jana Zamoyskiego z ruchomą drukarnią polową, rewelacją nie był, gdyż już w początkach XVI wieku na terenie Europy zachodniej drukowano w obozach wojennych. „Drukarnie latające” istniały wówczas, gdy nie było rozwiniętego systemu przekazywania informacji i systemu dróg pocztowych. Łatwiej, mniej kłopotliwie i bezpieczniej było dostarczać informacje do Warszawy, Krakowa, Wilna czy Rygi i tam drukować, niż wozić z sobą drukarnię. Gdy podnosi Kowalczyk sprawę „wspaniałych listów i mów Jana Zamoyskiego” czy jego wyczulenia na piękno kroju czcionki, to należy się zastanowić, ile w tym wszystkim samego Zamoyskiego, a ile jego sekretarzy czy innych ludzi z kręgu kanclerza, bo inaczej zamajemy prawdę, a nie zbliżamy się do niej. Kowalczyk pisze także, że „prowadzenie jednostki wyznaniowej” umacniało fundamenty państwa. Tymczasem wiadomo, że to tolerancja religijna, nie zaś jedność wyznaniowa, była spójnią wielonarodowej i wielowyznaniowej Rzeczypospolitej.

Jak więc widzimy, sporo miał racji Ignacy Krasicki, gdy pisał o trudzie historyka:

„Nielatwe to jest dzieło, dzieje ludzkie głosić,
Poniżej, gdzie należy, gdzie trzeba
wynosić,
Dać poznać, jak się rzeczy
na świecie koczają,
Środek między pochlebstwem
trzymać a potwarzą”.



Fotograf Wielki
JK 50

Rys. Jerzy Kowalczyk

LISTY BRATA

MIAŁ na imię Zenon. Pozostało po nim trochę listów pisanych z wojska, kilka fotografii, no i żywe wspomnienie. Był najstarszy spośród nas, ośmiorga dzieci w rodzinie organisty z Potoka Wielkiego. Był bardzo rodzinny, czuł się współodpowiedzialny za wychowanie i naukę młodszego rodzeństwa. W pamięci naszej i w świetle troskliwie przechowywanej korespondencji pozostała jego postać jako młodzieńca bystrzego, o żywej inteligencji i uzdolnieniach artystycznych, o wrażliwej naturze. Odznaczał się dużym poczuciem sprawiedliwości społecznej i był uczulony na poszanowanie godności osobistej. Dlatego — prawdę mówiąc — nie czuł się dobrze w wojsku, że znosił dyscyplinę, chciał jak najszybciej wrócić do cywila, aby studiować, pracować i pomagać rodzinie.

Po ukończeniu średniej Szkoły Budownictwa w Lublinie w 1933 r. został skierowany na roczny Dywizyjny Kurs Podchorążych Rezerwy przy 9 Pułku Piechoty Legionowej w Zamościu. Po promocji w końcu lipca 1939 r., dostał przydział do 7 pułku w Chełmie.

Listy brata malują — może niekiedy subiektywnie — klimat ówczesnej służby wojskowej, żywot żołnierza podchorążaka, nie pozbawiony potu i troski, ale też i swoistego humoru. Kartki pocztowe pisane z Chełma z ostatnich pełnych napięcia dni sierpnia i pierwszej połowy dramatycznego września, oddają jakże piękną postawą moralną polskiego żołnierza w obliczu zagrożenia ojczyzny. Tylko dlatego ośmielałem się przytoczyć kilka wymownych fragmentów.

Najpierw garść relacji z Kursu Podchorążych. W liście do przyrodniego brata, z datą 5 lutego 1939 r. donosił m.in.:

[...] Chciałem Ci powiedzieć, co słychać u nas. Przede wszystkim mapa moja była bezkonkurencyjna. Pytłakowski miał pewne zastrzeżenia, [...] Mimo wszystko — powiada — piątkę dostaniecie, a co owacji przy tym, wystawli na tablicy jako wzór wyraźnej mapy. Za to mam ciągle tarcia z podoficerami, przeważnie z jednym [...] Dlatego, mimo iż z terenoznawstwa mam 4+, awansu się nie spodziewam, raczej wyjazdu do pułku (zresztą tylko 50 proc. dostanie awansu).

[...] W przyszłym tygodniu wyruszamy prawdopodobnie na manewry zimowe. Teraz mamy wolne wyjście, ale z tym, powiadam Ci, komedie. To spodnie, menażkę, bluzę do przeglądu, lub rozbierają cię nie daleko do koszu, jak mówił szef. [...] S. [...] jak siedział tak siedzi. Mamu zryw z tego żołnierza marudera. Kombinuje i kombinuje. Nasz sierżant nakrył go, jak spał w szafie, ale jakoś się wymigał. [...]

Jerzy Kowalczyk

W innym liście do brata pisanym z Pańskiej Doliny koło Zamościa, gdzie odbywały się manewry, 10 czerwca 1939 r. donosił jednak z dumą o awansie: Szacoń, ja i prawie połowa kursu dostaliśmy kaprała. Możesz więc już adresować „kapral podchorąży”, tak bowiem tytułują nas oficerowie. Mamu swoje wojsko, którym dowodzimy. Stasiak i ja mamy plutony — wszak 63 ludzi do swojej dyspozycji, to chyba satysfakcja.

Z zakończenia kursu w Pańskiej Dolinie w dniu 20 lipca 1939 r. zamówił zdjęcie. Po promocji i przed pójściem do pułku miał tygodniowy urlop. Przyjechał do domu. Widzieliśmy brata po raz ostatni. Potem były jeszcze listy z Chełma.

20 sierpnia pisał stąd:
Kochani Rodzice, jestem obecnie w Chełmie. Jest dużo wygodniej, bo mieszkamy w koszarach. Służba jako tako leci, tylko nudy jak flaki z olejem, nie ma konkretnego. Czekamy nie wiedząc na co. Pocztówkę tę miałem zamiar wysłać ze wzmianką o przysłaniu garnituru, lecz ostatnio powiedziano nam, że o zwolnieniu tak szybkim nie ma mowy, będziemy służyć aż do odwołania, wobec czego nie tak szybko się zobaczymy.

A niżej drobniejszym pismem kończył korespondencję już całkowicie w innym nastroju.

Pocztówkę tę zacząłem 20, dziś mamy już 28. Zwiększałem, bo sądziłem, iż jeszcze wyjaśni się. Lecz nie ma na to widoków. Tutaj mam możliwość obserwować ładne widoki — płacze rodziców nad synami, którzy idą z koszar na ćwiczenia, a ludzie sądzą, iż na wojnę. Przed dwoma dniami wystalem zdjęcie — czy aby doszło? Nie martwiecie się specjalnie o mnie. Myślcie nad tym, aby bez względu na warunki polityczne — kształcić dzieci. Za wszelką cenę. Liczcie się z tym, że (na razie jestem na miejscu) jeżeli pojedę — to bodajże i nie wrócę, chociaż mam jak najlepsze myśli. Myśląc nad tym, to jedynie o Was mi się rozchodzi i Was tak żał mi pozostawić. Niemniej jednak chętnie pójde, dokąd każą. Chciałbym się jeszcze ze wszystkimi zobaczyć. Może się uspokoi, to napiszę. W radio nadają audycje wojskowe — teraz grają rozmaryna. Denerwujące jest to oczekiwanie, bo albo do domu, albo do Hitlera, a nie czekać. Wojsko z wielką chęcią poszłoby dusić Hitlera. Bardzo proszę jeszcze raz o natychmiastową odpowiedź, bo doprawdy od nikogo nie otrzymuję listów, czy nie dochodzą, lub nie wysyła nikt. Czekam. Pozdrowienia — syn Zenon.

Po tym liście do rodziców, pełnym nerwowości, napięcia, troski i smutnych przeczuć co do własnej osoby, które miały się — niestety — spełnić, jakże inny w nastroju był następny list do brata, pisany cztery dni później

— 1 września. Wszystko stało się wówczas jasne i — przyszło jakieś wewnętrzne uspokojenie.

Kochany Braciśku! [...] Powiadam Ci, jak morowo się czuję — płacze wielu matek, tak wielki ruch, to tak dobrze na mnie wpływa. (Następne zdanie niestety zostało dokładnie zamazane przez cenzurę wojskową). I dalej czytamy:

Teraz to człowiek wygląda nieco lepiej. Mamu wszystko nowotutecznie. Złożyłem podanie tam (do Wawelberga), lecz teraz to taki bałagan wszędzie, że nie ma co mówić. Wiesz, jeszcze nie mogę uprzytomnić sobie, iż dożyłem tak zaszczytnej chwili. Przychodzą mi na myśl wszystkie opowiadania o poprzednich wojnach. [...]

Wreszcie ostatnia kartka do rodziców, pisana z Chełma 13 września. Dziękuję w nim za list, pieniądze, nie dotarła tylko paczka z żywnością.

[...] Przypuszczam, że jesteście zupełnie bezpieczni, co mnie niezmiernie cieszy. Zapewne sądziłicie, iż jestem na froncie. Niestety, bo jak dotąd, siedzimy w koszarach, no i prawie nic nie robimy. Strasznie się nam nudzi. Co nie robiliśmy, aby nas wysłano na front — niestety, każą czekać. Jedynie najlepszych papierosów francuskich i angielskich nie brak. [...] Dziękuję za pamięć, nie martwiecie się o mnie, bo i ja o nic się nie martwię. Ogólnie leci, jak na takie czasy nie najgorzej. [...] Kończę i przesyłam pozdrowienia.

Wreszcie doczekał się. Tego lub następnego dnia, 13 lub 14 września, wyruszył z Chełma ze swoją 10 kompanią na front, aby w ramach 55 Pułku Piechoty wziąć udział w ostatniej fazie działań wojennych nad Bugiem przeciwko wojskom hitlerowskim. Nie oszczędzał się w walce i podzielił los wielu towarzyszy broni. 17 września w czasie natarcia nieprzyjaciela, obsługując karabin maszynowy, został ciężko ranny w głowę, przewieziony do szpitala w Lubomlu, żył jeszcze pięć dni. O tym, że był ciężko ranny, dowiedzieliśmy się od jego kolegów, którzy szczęśliwie powrócili z wojny. Mieliliśmy iskrę nadziei, że może pozostanie przy życiu. I mimo odpowiedzi, jaką otrzymaliśmy w lutym 1940 roku ze szpitala, że zmarł 22 września o godzinie 20 i że go pochowali na mogiłach katolickich w Ljubomlu, jeszcze ludziliśmy się, że to może pomyłka.

Ostatni list brata przyszedł po wojnie, ten już cytowany z 13 września. Z przedwojennym znaczeniem pocztowym przedstawiającym Jagiełłę i Jadwigę z wykasowanymi mleczkami u dołu. Gdzieś się zawieruszył, ktoś go odnalazł i jakaś litościwa ręka wrzuciła go do skrzynki pocztowej. Na stemplu napis: Chełm Lubelski i data: 17.IV.46. Po siedmiu więc prawie latach dotarł do najbliższych. List zza grobu.

ZRÓDŁA

KOLUMNY MŁODOLITERACKIE

Krystyna Makula-Trochimiuk

JUZ ONA PIĘKNY MOTYL NOCNY

oni dziś przypadkiem
są w tym krajobrazie
po wzory dla serca
przez kaprys podróży
rzuceni w te strony
z prawie włoskim niebem
nad ruinami starego zameczku
ona dostrzega to
szczęśliwa jest i romantyczna
czereśnie dzikie z drzewa zrywa
przegięta niby płomień świecy
gdy nad nim w mroku
miłosne szepty modlitewne jęki
on patrzy na nią on to wie
takiej na ziemi być nie może
on ślub z nią bierze
na każdym miejscu i o każdej porze
tam gdzie z nią był
i gdzie się z nią bawił
już ona piękny motyl nocny
w sukience ślubnej z mgieł i rosy
już jego próżne po nocy wołanie
w całej zielonej soczystości czerwca
tej nocy wszystko w nich
miało być szaleństwem



Rys. Dominik Opolski

DEBIUT

Urszula Gierszoń

* * *

w tęczę ci zamknąć
siedem dni tygodnia
obarwić ciszę
w baśniowe ogrody
sny okwiecić

nad tobą synku
dłoń moja rośnie

AKCENT

Mamy „AKCENT”. Nie ma słabego akcentu. Kładzie się zazwyczaj mocny akcent. Mamy więc mocny lubelski „Akcent”. Kreśliły te słowa nie bez satysfakcji. Źródła akcentu tkwią w „Zróżniach”. I nie jest to trudny do rozszyfrowania kalambur.

Na wszelki wypadek przypomniemy: „Akcent” — literatura i sztuka, almanach. Wydawnictwo Lubelskie 1980, str. 176. Wydawnictwo Lubelskie w planach wydawniczych na rok 1980 przewiduje cztery takie almanachy.

W pierwszych dniach lipca „Akcent” pojawił się w księgarniach. Znikł szybko.

Nakład pierwszego tomu — tylko 1500 egzemplarzy. Drugi ma ukazać się w nakładzie dwukrotnie wyższym, trzeci...?

Czego życzyć redakcji „Akcentu”? Dobrych tekstów.

Radzinki z pierwszego tomu: „Współczesność miała wiele odrazów z eksportu. Warto by się zastanowić nad działalnością grupy „Hybrydy”. Na przykład uważam, że absolutną pomyłką było wydanie jakiegokolwiek książki Krzysztofa Gąsiorowskiego” — Tadeusz Kwiatkowski - Cugow str. 106.

„Nie miałem kobiety” — wyznaje Krzysztof Paczuski na stronie 89.

„Zachwycony patrzyłem na Emmę, nie mogąc od niej oczu oderwać” — wzdycha Marek Sołtysik na str. 72.

O „Eutanazji w pałacu wariatów” — pisze Jerzy K. Misiec str. 5.

„Fikcja źródłem prawdy” — poucza Andrzej W. Pawluczuk.

Maria Józefacka znalazła rękopis w bibliotece (XIX wiek).

„Dokonałem pewnego wylomu w murze przemilczeń” — wyraża się Artur Sandauer na str. 104.

Stanisław Żurek

* * *

to blisko tak
zza pajęczyny światła
spod zasłony traw
zobaczyć ogromne słońce
o którym opowiada
daleki czas

to blisko tak
że dopełniają się naczynia
krwionośne ortateczną
prawdą
zrozumieniem proroców wiatru
i poczynają korzeni

prowadzących nas
ufnych i nieufnych
przez tę ziemię
im obiecaną

* * *

a ziemia wciąż
gra z nami w kości
o największą stawkę

i trzeba umieć
przegrywać
łakę
las
dom

i grać dalej

Bardzo smutny koń

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

UKRADLI chłopu konia, to zamknął stajnię.

Coś musiał zrobić, bo go nerwy poniosły. A że w stajni zamknął żonę — to przypadek. Drzwi musiał otworzyć i konia kupić.

Nowy koń, gniadosz, szedł w zaprzęgu, potrzasał łbem i rżał radośnie. Z czego może śmiać się koń?

Pytanie, którego nie postawi się koniowi. Można jakiemś osobnikowi, bez narażania się na śmiech, skoro szkapa faktycznie się śmieje.

Sołtys Jan Bąk skłonny był mniemać, że z czegoś niezwykłego. Z czego, tego jednak nie potrafił dociec.

Właściciel konia, Edek Mazur — milczał. Milczał, nie z przekory, lecz z mściwą satysfakcją.

Kupił go tydzień temu. Pojechał na targ, w zęby zajrzał, po zadzie poklepał. Tylko darowanemu nie zagląda się w zęby. Kupowanemu koniecznie. Praktyka stara jak świat. Na dawnych obrazach widać rozbuchane konie, handlarzy, kupców, nabywców. Żydów zaglądających w końskie pyski. Jest w tym coś niezwykłego. Brutalność i czułość. Jak przy obmacywaniu mięśni u niewolnika, pierś u kobiety.

Jest nowy koń. Jest i zabawa. Uczestniczy w niej cała wieś i wszyscy, co tę wieś odwiedzają. Włec ja także.

Widziałem w tej wsi wiele rzeczy. Głupiego Wojtkę, co przepasywał się siekierą i podpierał workiem. Bociana uczącego zajaca latać, organistę dyrygującego chórem żab.

Byłem świadkiem, kiedy koń uciekał z podwórza. Biegł przez łąki, potrzasał łbem, potem pedził drogą przez wieś, gospodarze wyskakiwali z obejść, chcąc skierować go w stronę zagrody, rozpościerali ramiona, potrzasał tym, co udało im się w pośpiechu chwycić.

Czasem to nie skutkowało, koń biegł dalej, a oni potrafili odskoczyć w ostatniej chwili. Taka chłopska corrida. Grudki ziemi wyskakiwały spod kopyt, piana ciekła z pyska. Wtedy zacząłem sobie wyobrażać, jak straszny musi być atak kawalerii.

Służewiec

Trzymałem w ręku program wyścigów konnych. Co tam program. Nieistotne. Intrygowały mnie wymyślne końskie imiona. Jakieś zasłyszane przypadkowo wschodnie nazwy, impresje z lektur, zmyślne imiona nimf i satyrów. W sumie pretensjonalne, nie oddające ni czasu, ni nastroju.

Co tam rozważania. Bomba w górę. Ruszają.

Przepychania.

Tętent. Tyłu ich, a jakby jedna figura przypominająca kształtem lecącą gęś. Prowadzący niby wyciągnięta szyja szybującego ptaka.

Za nimi półowa toru. Wchodzą w ostatni wiraż. Na czele stawki biegł do mety jakiś Calvados czy Piknik. Czarny, z białą gwiazdą na czole. Lekko, lekuchno. Już o jedną długość przed rywalami, już o dwie długości... Swobodnie, ach jak swobodnie. Trybuny zamarły. Bieg robił wrażenie. Porażał widzów: jasne, że to fuks.

— Zatrzymać tego konia — zawołał stojący obok mnie staruszek.

Nikt nie ruszył się z miejsca. Otwarli gęby. Z podziwu, z zachwyty, chociaż ten czarny z białą gwiazdą wszystkim im krzyżował plany.

— Zatrzymać tego konia — zawołał staruszek jeszcze raz i nie mniej dramatycznie.

W dalszym ciągu nikt się nie poruszył, ba, nie odezwał nawet. I w tej ciszy, gdy z bieżni dolatywał tylko tętent, wśród widzów usłyszano odgłos padającego ciała i czyjś okrzyk: — wody! a po chwili drugi, głośniejszy — doktora!

Lublin

Biegł szczur. W biały dzień. W centrum miasta, przed delikatesami, na oczach ludzi czekających na dowieszenie kielbasy.

I ten szczur.

Nie, nie w panicznej ucieczce. Spokojnie. Niby podczas spaceru, dumnie jakby odbierał defiladę. Napięty jednak. Rozglądał się uważnie, może wybierał drogę, gdzie by mógł czmychnąć w razie niebezpieczeństwa.

Kilka osób się rozemniało. Niewykłuzzone, że ja również.

Końskiego śmiechu nie słyszano.

Księżę Górk

Mieszkał tu mój dziadek. Bywałem u niego. Lubilem to miejsce i ludzi. Pogodnych i dowcipnych. Da tańca i do różańca, wypitki i wybitki. Był moimi pierwszymi znajomymi, o których przeczytałem w gazecie. Zrobiło to na mnie duże wrażenie. Pewien dziennikarz spotkał ich nocą jadących na jarmark. Wieźli warzywa i owoce. Zapamiętałem ten artykuł, redaktor zdumiał się, że z tak niewielką ilością towaru i nadzieją na niewielki zysk można przemierzać nocą taki kawał drogi.

Spotkałem go po latach. Pamiętałem jego nazwisko, choć on dawno zapomniał o zdumieniu, w jakie wprawił go mieszkający Księżych Górek. A tak chętnie zapytałbym go, co chciałby poradzić tym ludziom. Jest moim kolegą z redakcji. Wypiliśmy już razem niejedną butelkę wódki. Mówię o tym, bo coś może świadczyć lepiej o życzliwości. On sam wydorował. Posiadał mu bakki. Dziś niewiele może go zdumieć, a jeszcze mniej oburzyć. Refleksyjny, wujaszkowy stosunek do świata.

Już od kilku dobrych lat nikt z Księżych Górek nie wypuszcza się furmanką do miasta. Jest we wsi kilka

Dokończenie na str. 10

Dominik Opolski

POWIEDZIAŁ PAN

Powiedział Pan, że powrót będzie kwestią wiary — Istnienie mogłoby przybrać siłę wyrzutu sumienia nekannego tęsknotą do symetrii, tej jedynej szansy potwierdzenia relacji, w jakie się wikłamy.

To, co łączy i rozdziela, zna swoją tożsamość: Luka w pamięci może się okazać fikcją czekania na czas, który minął

Milczymy wyprze ciszę
Gluchota nie przerwie nawyku

nasłuchiwania

Wyboru partnerów
Sposobu splacania powinności
I wiary.

Krystyna Makula-Trochimiuk

BŁĘKITNY CHŁOPIEC

co za pomysł
skąd wziął się ten chłopiec
w romantycznym kapeluszu
pod moim oknem
o tak późnej porze
i deszcz jesienny
i północ już dawno
skąd wiem że tylko z nim
po przełęczy na Alpach w Splügen
włóczyć się mogę i podarować mogę
wstążkę jedwabną,
i wszystkie wszystkie światła
Aleksandrii
dlaczego więc pytam
skąd wziął się ten chłopiec
w moim biednym sercu
o tak późnej porze
i skąd to zdziwienie
i lzy te skąd
za oknem świt prawie
chłopiec błękitnie
widzę go wyraźnie
to błękitny chłopiec

Jerzy Sprawka

INTRODUKCJA

Obierzmy ten nóż z mięsa,
co we mnie rośl,
chcę zobaczyć, jak leży ta moja kochanka
cichsza teraz niż gniew, bo skora.

Już chyba każdy schodek we mnie znasz
i wraz niepewna, gdzie tu kres?

W buzi Ani niedźwiedź usypia,
w tobie szczygiel zaczyna się tłuć,
we mnie pasikoniki.

Zakopiemy ten nóż.

Bardzo smutny koń

Dokończenie ze str. 9

samochodów. Odwożą nimi warzywa w coraz większych ilościach.

Modne i opłacalne jest uprawianie warzyw. Zwłaszcza w szklarniach.

Dziwne. Tuż po wojnie w domach zamknięto z wieczora okiennice. Namiennie bowiem wybijano sobie szyby. Dziś okiennice są coraz rzadszą zdobą. Okiennice na szklarnie? Niewykonalne. Brzmi to równie paradoksalnie jak drzwi do lasu. Kto by się zamachnął na szklarnię? Na ambasadę można. Na szklarnię niby prościej, a jednak nie słyszałem o takim śmiałku.

Nabrali szacunku do pracy? Ryzykowne stwierdzenie.

Przerażają ich trudności w nabyciu pewnych materiałów?

Może. Spowaźnieli?

Kto wie. Być może. Kiedyś nie brakowało im inwencji i dowcipów.

Nie wpadli jednak, co by tu na takiej szklarni zrobić, a przecież potrafili wciągnąć na stodołę wóz, nawet z koniem.

Wchodzę do szklarni.

Parno. Gorąco. Wilgotno. Czarna ziemia jakby zmuszona do bardziej intensywnego wysiłku, oddycha pospiesznie. Kwiaty. Czerwone, żółte, różowe. Barwne. Jak przed kościołem podczas odpustu. I nastroj. Spokoju. Pogody. Dostatku. Sytości. Zadowolenia. Sukcesu.

Szklane domy

Nie mogę myśleć o tym w inny sposób.

Stara Marciniakowa podparta kosturem. Można by nią straszyć dzieci. Nie tylko dzieci. Potrafi na kogoś nieprzyjemnie spojrzeć, splunąć. Młynarz, się przez nią rozchorował. Edkowi skradziono konia, samochód się rozbił, krowa pośliznęła. Idzie przez wieś dumna, pełna powagi. Stukot laski. Mocny, donośny. Jakby podkreślała swoją obecność. Oto jaki użytek można zrobić ze swej brzydoty.

Kiedyś spalono by ją na stosie. Dziś jej to nie grozi. Co najwyżej podpala jej stodołę. Praktykuje się jeszcze takie historie, chociaż rzadko. Koniski śmiech. Ale to nie koń. Ktoś rozbawiony.

To już wieczór.

Zapach czeremchy. Chce się wachać, choć chwilami wóń przyprawia o ciarki na grzbiecie. Zapach zeszłorocznej

słomy nie mniej intensywny. Kury idą spać. Strugi mleka uderzają o dna blaszanych wiader. Mleko już na stole, obok chleb, jajecznicza na patelni, woda w miednicy, buty pod łóżkiem. Na powórku soltysa „Fiat” z wojewódzką rejestracją. Nikt nie przyjechał szukać soltysowej protekcji. Szwagier przyjechał po cielęcinę i jajka. Rano odjada. Smugi żółtego światła z ręcznej latarki wbijają się w mrok. Cma kołuje. Złodziej się skrada. Szwagier w stodołę na resztkach siana. Zegar nie przestaje tykać.

Koń się śmieje.

Kur pieje.

To czerwony kur.

Jakby to potwierdzenie hasła wiszącego na soltysowej stodołę, że ciągle groźny.

Soltys Jan Bąk, komendant Ochotniczej Straży Pożarnej w Księżych Górkach, już w złocistym hełmie, chociaż w cywilnej marynarce i sztruksowych spodniach — dopinał strażacki pas z toporkiem i walił młotkiem w szynę przyczepioną do najgrubszej gałęzi jabłonki. Opadały z niej płatki zapylonych kwiatków...

Bum — bum — bum...

Dźwięki trochę groteskowe. Nie wyczuwa się nastroju dramatycznej sytuacji. Może dlatego, iż szybko zlokalizowano pożar. Płonie stodoła Marciniakowej. Czemu się pali? Przecież trudno starą wiedźmę podejrzewać o zabawę zapałkami. Papierosów też nie pali.

Jest przednówek. Stodoła pusta. Spłonęła, nim zdążyła uruchomić pompe.

Łup — łup — łup... Świsł powroza. Ktoś się biegnie? Może ma ochotę zostać świętym?

Edek obraca powrozem w rękę. Nie, nie zamierza zostać świętym.

Koń by się uśmieł.

Przemawia do rozsądku swojej babie.

Przechodzimy właśnie tamtędy z soltysem. Bardziej niż ból odczuwamy swoją bezradność. Soltys czuły się może zrezygnął w roli przypadkowo przechodzącego kominlarza. Tak mogło się wydawać tylko mnie. Co czuł soltys — trudno powiedzieć. Można mówić, jak zareagował. Podbiegł do płota, wrzasnął. Edek udał, że nie słyszy. Mało tego, chciał wypląć zad w naszym kierunku, lecz soltys przesadzał już plot, więc tamten poniechał szybko zamiaru, gdyż ta czynność wyglądałaby na zwykłą nadgorliwość.

Na chłopaki rozum koń mógł się uśmieć z wielu rzeczy... Wnikliwe śledztwo kazało przypuszczać, że koń Edka śmieje się z jednej.

Wykrycie wymagało jednak czasu. W tym czasie działy się różne historie.



Rys. E. Ingłot

Zaczynał się sezon ogórkowy. Niebawem wysyp truskawek.

Małe i duże sprawy. Można je skwitować machnięciem ręki, mocnym słowem. Dużo tych słów, dużo przekleństw. Trudno jednak przypuszczać, aby był to powód do konskiego śmiechu.

Zielone pola. Wśród nich czerwień maków. Za nimi, w dali, czerwień dachu kościoła, bliżej — zardzewiała blacha na budynku skupu trzody. Po jednej stronie drogi figura na grobie partyzantów, po drugiej głaz na mogile powstańców styczniowych. Na głazie kładę czerwony mak. Głaz jest rozgrzany słońcem, mak kurczy się w oczach, więdnie. Po chwili, niby kropla zakrzepłej krwi.

Mówi soltys (do mnie): — Kiedyś była tu posiadłość dziedzica. Nie wiodło mu się najlepiej. Jak Bóg chce kogoś skarać, to mu rozum odbierze. Ożenił się nieborak z córką fornała. Pewnego razu wybrał się w odwiedziny do sąsiadów. Zajechali pod dwór, stangret strzelił z bata, raz, drugi, trzeci, czekają, na próżno, nikt nie wyszedł ich powitać. Odjechał jak nieprzyzny. Dziś w jego posiadłości kopia glinok. Na rozparcelowanej ziemi pozakładali sady, zbudowali dziesiątki szklarni, sadzą ogórki i pomidory. Zagłębienie — piszą o nas. Warzywnicze zagłębienie. Tamten nie znał życia — kończy soltys.

Patrzę na niego z podziwem. Wie, co w trawie piszczy. Jeśli ma ochotę na zupę szczawiową, a nie potrafi jej ugotować, to naje się szczawiu.

Mahomet do góry, czy góra do Mahometa?

— Różnie bywa, koń się topi, ogon pływa — mówi Magda, córka soltysa. Zdaje się to odpowiada sytuacji dnia dzisiejszego.

Soltys kiwa, zrezygnowany, głowa, myśląc o Magdzie, mówi o jajku mądrzejszym od kury. Cóż z tego, sam wie, że niekiedy pieczone gołąbki wpadają same, nawet myśl może przyjeść do głowy sama.

I tylko pytanie: koń do wozu, czy wóz do konia.

Koń się śmieje. Soltys, traci pewność.

Śmiejący się koń jest sympatyczny, ale żeby z powodu konskiego śmiechu nasміevano się z soltysa? Niedopuszczalne.

I nie mogło być: — jakoś to będzie. To musiało mieć koniec. Niezwłocznie.

Jak to jest, że koniski śmiech uczyniono symbolem czegoś niezwykłego?

W bajkach i piosenkach ludowych zwierzęta obdarzone są rozumem, reagują jak ludzie. I wszyscy na to przystali. W życiu ludzie reagują jak zwierzęta. Według ludzi, oczywiście. No, może, niezupełnie. Właściwie ludzie zachowują się jak ludzie, jedynie złe postępowanie dla niektórych ma znamiona zwierzęcości.

Mój kolega redakcyjny ze wzrokiem utkwionym gdzieś za oknem. Z rękami w kieszeniach, z czerwonym kravatem zaciągniętym pod kółnierzykiem nie dopiętej koszuli. Śpiewa: „na wielki jarmark do Końskowoli jechały sobie dwa redaktory”. Widząc mnie, pyta: — Co słychać? I nie czekając na odpowiedź, mówi: — Znam dowcip. Kupił chłop konia. Koń jak koń. Nieszczególny, miał jednak dziwny dar. Potrafił się śmiać. Czemu? Rzeczono, ktoś z ludzi chciał z nim rywalizować. Broń Boże w ciągnięciu wozu. W czym innym. Zgoła trywialnym. Gość wszedł do stajni, po chwili wyszedł, a koń przestał się śmiać.

— Już? — pytam.

— Już odpowiada. — Chyba nie nie przekreśliłem...

W opowieściach ludowych chłop okpił diabła, niedźwiedzia, wilka. Niedźwiedzie już tylko w ZOO lub na Syberii. Diabły — Bóg raczy wiedzieć gdzie, wilków prawie nie ma... Przyszła kolej na konia. Niby się śmiał, ale nie ostatni.

Księżę Górki

Widziałem konia, którego soltys zawstydił. Pozbawił złudzeń, satysfakcji.

Pozostał mu tylko wóz.

Nawet Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami niewiele może pomóc. Bardzo smutny koń.

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

Księżę Górki, maj — czerwiec 1979 r.



„Zródła”

Kolumny zredagowali:
Jerzy Krzysztof Misiec
Waldemar Żelazny
Stanisław Żurek

POCZTA LITERACKA

Tomasz B. Pulawy. Oddajmy głos
tekstom:

Napijmy się herbaty we
dwoje, siedząc w kącie, w ka-
wiarni

Zaraz kelner nam ją poda
Nie martw się o nic, zapłacę.

Należy Pan do coraz węższego
grona dżentelmenów, którzy bez
zmużenia oka fundują herbatę
dziewczyń. Ta godna zaufania ce-
cha nie idzie u Pana, niestety, w
parze z zawartościami nadesłanych
utworów. Nie pojmuję np., dla-
czego pierwszy wers załamuje się na
słowie „we”. Śmiałość przetrutni,
zastosowanej nawet w najmniej
oczekiwanym miejscu frazy, nicze-
go nie daje. Potrzebna jest jeszcze
tzw. treść.

Ewa D. Lublin. „Oderwanie od
tradycji literackiej” uważa Pani za
słabość swoich wierszy. Nie po-
dzielam tej oceny. Byłoby znacznie
lepiej dla nich, gdyby właśnie so-
lidnie tkwiły w dobrze rozumianej
tradycji literackiej. Atoli, one tylko
nieudolnie ją naśladowują. Czyż nie
tak jest np. z całym wierszem „Ta-
try” — gdzie mamy do czynienia
z niezręcznym naśladowaniem sta-
roświecczyzny młodopolskiej? Zrę-
cznie naśladować coś, co już prze-
minęło — pół biedy. Niezręcznie —
cała bieda. Albo wiersz oparty na
motywie pobytu w kawiarni:

Znów ktoś wszedł i postawił
przede mną
Czarną kawę i białą śmietanę
Tak jak życie jest tylko jedno,
Mogę wziąć tylko jedną ze szkla-
nek.

Czyż możliwe, aby ten ktoś
wszedł do kawiarni z własną ka-
wą i śmietaną? Pomijając jednak
żarty: kawa była zawsze czarna,
śmietana biała — w jednej linijce
dwa słowa za dużo.

Sławomir T. Złotoryja. „Pomy-
ślałem jednak, że nie powinno Pa-
nu zależeć na gnębieniu”. Dobrze
pomyślałem. Gnębienie nie jest mo-
ją specjalnością, z wyłączeniem
jednego wszakże rodzaju sytuacji
— takich, kiedy trzeba komuś zde-
cydowanie wybić z głowy pisanie,
ryzykując przy tym minimalną,
prawie żadną pomyłką. Srogich na-
uczycieli cenimy później (ale znacz-
nie później) najwyżej i najdłużej.
W tym przypadku rzecz jest po-
dzielna: co do wierszy, nadal utrzu-
muję, że są do niczego, natomiast
z załączonych chyba 150 fraszek,
aforyzmów i kalamburów można
wyluskać kilkadziesiąt zupełnie cel-
nych. Ot choćby:

Lekarz służy rozumem
zależnie od sumy.

Resztę zwracamy.

Leszek S. Żukow

Już wędną kwiaty lata,
już żółkną liście drzew,
Wspomnienia zostawiają
Tęsknoty ciszy zew.

To prawda, że te wędzące kwi-
aty, żółknące liście i wspomnienia,
co zostawiają tęsknoty cichy zew.
Ale w tej formie te właśnie dozna-
nia były już opisane pięćset pięć-
dziesiąt tysięcy razy. Nie ma naj-
mniejszego sensu powielać tę for-
mę jeszcze raz.

Kazimierz J. F. Zielona Góra.
Przenośnie i metafory raz ograne,
innym razem pretensjonalne: „zasz-
czuty słowami wzroku”, „w misce
rąk”, „bukiet zasuszonych dni”. Z
kolei niezły wiersz „Pociąg żegnane-
”!... grzeszy wielosłowiem, a zka-
da, gdyż byłby to kawałek poety-
ckiego obrazu prowincji.

Tomasz A. Ostrołęka. Życie,
śmierć, gorzyc smutku, itp: trudno
wyjąć obronną ręką z tych tema-
tów i spraw, jeśli głębia refleksji
nad tymi odwiecznymi dylematami
sprowadza się jedynie do ich... od-
krycia. Albo:

wspomnienia — kwiaty czasu
przemijają...

Z nadesłanych tekstów nie sko-
rzystamy: Stanisław T. Bilgoraj,
Henryk J. Olsztyn, Krzysztof S.
Lublin, Janusz K. Stalowa Wola,
Tadeusz H. Lublin.

H.P.

Malarstwo Aleksandra Olszewskiego

ZAINTERESOWANIE mitami i
archetypami kulturowymi o-
kreśla twórczość Aleksandra
Olszewskiego — młodego, ra-
domekiego malarza. Jego malarstwo
w swoim początkowym okresie rozwar-
stwiało nieco inne zagadnienia. W cy-
klu „Fotoplastikon” pochodzącym z
1976 roku, artysta podjął próbę mecha-
nistycznego studium ruchu. Powstały
obraz przypominał fragment taśmy fil-
mowej. Elementy przedstawiające w
„Fotoplastikonie” zostały umieszczone
na jednolitym, nieokreślonym tle. Ten
brak konkretnego tła posłużył artyście
do ukazania względności ruchu, a tym
samym do poddania w wątpliwość na-
szego wzrokowego poznania. W innych
obrazach z tego cyklu logiczny układ
następujących po sobie faz ruchu
przedstawienia zakłócony został wpro-
wadzeniem obcych elementów w po-
stać brył geometrycznych. Możemy je
rozumieć jako rodzaj kodu artysty,
służącego do wyrażania czy raczej sygn-
alizacji jego skojarzeń emocjonalnych.
W bardziej rozbudowanych kompo-
zycjach Olszewski odchodzi od przed-
stawiania ruchu. Wydzielone precyzyj-
nie pola obrazu wypełnia elementami
zarówno figuratywnymi jak i abstrak-
cyjnymi (pod tym pojęciem rozumiem
bryły geometryczne). Każdy z elemen-
tów figuratywnych jest fragmentem
otaczającej nas rzeczywistości, pozna-
walnej wzrokowo (np. widok z okna),
natomiast bryły są, jak już wspomnia-
łem, rodzajem kodu artysty.

Obraz taki jest jednocześnie zapisem
fragmentu zewnętrznego, obiektywne-

go świata jak i nie poznawalnego
„szkieletem i okiem” świata artysty,
na który składają się emocje, związki
myślone powstające w jego pod-
świadomości. Chciałbym zaznaczyć, że
obraz pełni również w tym przypadku
funkcję postulatu malarza o rozszerze-
nie pojmowania rzeczywistości o „rze-
czywistość” ludzkiego wnętrza — nie-
wyrażalnego adekwatnie w sposób wi-
zualny i werbalny, nie dającego się
ująć w kategoriach fizycznych.

W 1977 roku Olszewski zostaje człon-
kiem radomskiej grupy twórczej „M-5”,
której głównym hasłem artystycznym
jest „mała metafora”. W tym też roku
maluje cykl obrazów „Klimaty”, gdzie
po raz pierwszy wyraźnie dają o so-
bie znać jego zainteresowania dawny-
mi mitologiami czy przekazami ha-
giograficznymi. Artysta poszukuje te-
raz takiej formy przekazu, która za-
pożyczając przedstawienie z tradycyj-
nej ikonografii, ukazywałaby dzisiejsze
funkcjonowanie mitów. Odczytanie ta-
kiego obrazu polegać będzie na znalez-
ieniu znaczących relacji między jego
elementami. W kompozycji nawiązują-
cej do polityki (bardzo często występu-
jącej w malarstwie średniowiecznym),
znajdują się pola „ważniejsze znacze-
niowo” i „mniej ważne”. Wiadomo, że
w tym układzie środek obrazu będzie
najistotniejszy semantycznie — pola
boczne będą dopowiedzeniem, kome-
ntarzem przedstawienia środkowego.

Warstwa przedstawieniowa tych ob-
razów zapożyczona jest z bogatej skar-
bnicy mitów. Nie wężą się ona do
ukazywania znanych wszystkim podań,

lecz służy artyście do znacznie głę-
szych rozważań o dzisiejszym funkcyj-
nowaniu tychże w świadomości spo-
łecznej. Artysta nie ogranicza się te-
matycznie tylko do mitologii greckiej.
Namalował też wiele obrazów, w któ-
rych podjął wątki biblijne. Często bo-
haterowie starożytnych przekazów u-
brani są przez malarza we współczesny
kostium. Malarz pyta w tych obrazach
o rodowód naszych przekonań, wie-
rzeń, poglądów, zachowań — które we-
dług niego w sposób znaczący zostały
ukształtowane przez archetypy kultu-
rowe kręgu śródziemnomorskiego. Nie
ogranicza się tylko do bezstronnej re-
jestracji, często zamieszcza swój wlas-
ny komentarz, prowokuje odbiorcę do
własnej refleksji.

Ten typ malarstwa nazwałbym, wi-
dząc pewne związki i analogie z lite-
raturą czy filmem, malarstwem „kultu-
rowej refleksji”. Strona formalna pra-
ci Olszewskiego podporządkowana zosta-
ła stronie znaczeniowej. Budowanie
kompozycji w oparciu o rygor geometry-
czny wskazuje na konstruktywistyczne
wpływy (Olszewski studiował w
łódzkiej PWSSP, w pracowni Lecha
Kunki).

W trakcie tworzenia obrazu malarz
często posługuje się fotografią, trak-
tując ją jako jedno z narzędzi pracy.
Użyte w „Fotoplastikonie” środki wy-
razu (kadrowanie przedstawień, nie-
które relacje między kadrami obrazu
przypominające montaż cięty) zbliżone
są do języka filmu.

Romuald Bochyński

EKRAN I WIDZ

Między pomysłem a efektem

W DNIACH moskiewskich Igrzysk
Olimpijskich wprowadzono na
ekran lubelskiego „Kosmosu”
debiutancki fabularny film An-
drzeja Kotkowskiego „Olimpiada 40”.
Tytuł prawie jak ułaj, temat „podcho-
dzący”: problematyka sportowa (i na
dodatek jeszcze — wojenna); spodzie-
wano się sukcesów kasowych, tymcza-
sem — kłapa. Poszedłem do kina (od-
rywając się od telewizora) z recenzen-
ckiego obowiązku: na widowni było nas
jedenaścioro wraz z bileterem.

Pomysł, żeby przyciągnąć widzów te-
matyką olimpijską, gdy wszyscy żyli
Olimpiadą, był w zasadzie słuszny; cóż,
kiedy w realizacji nie wypalił.

Podobnie rzecz się ma, w jakimś
sensie, z samym filmem Kotkowskiego:
pomysł — doskonały, efekt ekranowy
— raczej mierny. No bo proszę: reży-
ser bierze na warsztat niezaprzeczal-
nie fascynujący temat — „igrzyska o-
limpijskie”, jakie odbywają się w ro-
ku 1940 w jednym z jenieckich stala-

gów, gdzieś na terenie Rzeszy kroczą-
cej właśnie triumfalnie od podboju do
podboju przez Europę. Reżyser chce
pokazać niezłomność ludzkich charak-
terów, patriotyzm, wolę przetrwania,
wreszcie — ducha sportowego, który
ożywia, a potem jednoczy ludzi skaza-
nych na wieloletnią niewolę, często-
kroć załamanych, zrezygnowanych.
Chce dowiedzieć, że idea sportu nie zna
granic, że scala różne narodowości i
nie przeszkadzają jej także różnice je-
zykowe. Wreszcie — umiejscowienie
akcji, nie — w oficerskim oślagu (jak
to w dotychczasowych filmach bywało,
od „Towarzyszy broni” poczynając, a
na „Wielkiej ucieczce” kończąc), ale w
zgrzebnym, żołnierskim stalagu, w spo-
łeczności zupełnie innej niż ta, do ja-
kiej oglądania przyzwyczailiśmy się w
filmach „obozowych” — jest pomysłem
nowym i oryginalnym. Co więcej,
„Olimpiada 40” nawiązuje do auten-
tycznych wydarzeń: w licznych ob-
zrach jenieckich kwitł sport, odbywały
się zawody i igrzyska, w których uc-
czestniczyli żołnierze aliancy różnych
narodowości.

Film Andrzeja Kotkowskiego powie-
rza wątek prowadzący Piotrowi (Ma-
riusz Benoit), polskiemu podoficerowi
przebywającemu w obozie dla jeńców
wojennych różnych narodowości. Piotr,
reprezentant polskich barw podczas XI
Olimpiady w Berlinie w 1936 r., stara
się zgromadzić wokół siebie żołnierzy
zainteresowanych sportem oraz... po-
tencjalnych kibiców; doprowadzi
wreszcie — mimo licznych przeszkód
ze strony dowództwa obozu — do zor-
ganizowania „igrzysk olimpijskich”.

ła swoje wielkie możliwości artystycz-
ne, zyskując I nagrodę Międzynaro-
dowego Konkursu im. Karola Fiescha
w Londynie.

● Kilkadziesiąt osób z 15 krajów
świata bierze udział w kolejnym kur-
sie wakacyjnym UMCS: w Letniej
Szkole Języka i Kultury Polskiej, o-
twartej po raz trzeci z rzędu w Lubli-
nie. W zajęciach uczestniczą obok kra-
jowcy, którzy z takich czy innych
względów — najczęściej praktycznych
— pragną poznać polszczyznę, historię
i kulturę naszego kraju.

● 500 mln zł będzie kosztowała e-
lektryfikacja 36-kilometrowego od-
cinka linii kolejowej Biała Podlaska
— Terespol, będącej elementem wiel-
kiej magistrali Moskwa — Warszawa
— Berlin. Prace w toku.

● Z okazji 80 rocznicy urodzin Ja-
na Zamojskiego, wybitnego malarza,
który szczególnie często w scenerii
kamienie Przybyłowski pojawiały się
w latach międzywojennych, Muzeum
Kazimierza Dolnego urządziło wysta-
wę obrazów i rysunków tego artysty,
prezesa grupy „Bractwo św. Łuka-
sza”, autora fresków w instytucjach
publicznych, scenografa. Polecamy,

Różne będą w nich konkurencje — fa-
kcie, na jakie pozwala miejscowa spe-
cyfika: od rzutu młotem kowalskim do
wysięgu w... skakanii „żabką”, ale
duch sportowy i radość z odniesionego
zwycięstwa okazały się takie same jak
na „prawdziwych” zawodach.

Film ma interesujące zdjęcia, a nie-
które sceny, jak te — w kamienio-
mach, czy na placu apelowym — są
wręcz znakomite: dynamiczne, świad-
czące o umiejętności kierowania przez
reżysera tłumami statystów, dowodzą-
ce, że Kotkowski posiada także wyczu-
cie plastyczne.

Ale większość filmu — nuży. Czas
wlecie się w nim ponuro i jednostaj-
nie od sceny do sceny, od sekwencji
do sekwencji, rozbłyskując tylko nie-
kiedy w ekranowej pomroce jaskraw-
ym pomysłem realizatora. Pewnie,
ważą się w „Olimpiadzie 40” i proble-
my egzystencjalne, i ponadczasowe za-
gadnienia... Ale timbre całości mógłby
być jednak chyba trochę mniej „bo-
lesny”, „nabrzmiaty”, „patetyczny”.
Przecież — jak słusznie zauważa jed-
na z recenzentek — „Epizod wojennej
olimpiady rozegranej w stalagu jest z
pewnością jednym z najpogodniejszych
epizodów w sześćdziesięciu lat historii
wojny i okupacji”. Bo wszak m. in. była
to „manifestacja młodości, witalności i
sprawności fizycznej, a młodość zawsze
jest optymistyczna, szczególnie w wal-
ce sportowej”.

No właśnie: gdzieś między pomysłem
a efektem artystycznym zgubiła się
Kotkowskiemu młodzieńczość jego bo-
haterów.

M.D.

KRONIKA

● Straty w zasiewach i uprawach,
okresowe awarie sieci telefonicznych,
zalanie setek budynków gospodarskich
na wsi i obiektów publicznych w mia-
stach — oto niektóre następstwa gwał-
townych deszczy i powodzi, jakie na-
wiedziły region przy końcu lipca. Bu-
rza nad Zamościem trwała od godz.
9 do 18.45, co meteorolodzy uznali za
zjawisko zupełnie wyjątkowe.

● Po zdaniu dodatkowych egzami-
nów wstępnych można jeszcze rozpo-
czyć studia matematyczne, fizyczne i
wychowania technicznego na UMCS.
Kierunki te od dawna cierpią na de-
ficyt kandydatów.

● W Ogólnopolskim Festiwalu
Młodych Skrzypków, który odbył się
w Lublinie w 1970 roku, łodzianka, Bar-
bara Górczyńska zdobyła I miejsce, o
czym przypominamy dlatego, ponie-
waż niedawno skrzypaczka potwierdzi-

● Jeden z niewielu aktywnych ar-
tystów lubelskich młodszego pokole-
nia, Piotr Kmieć, wystąpił w warszaw-
skiej Galerii Kordegarda z ciekawym
pokazem pt. „Działania plastyczne”, co
odnotowujemy z satysfakcją.

● Przedsiębiorstwo Zaopatrzenia
Szkół „CEZAS” w Lublinie otrzymało
pewną partię nowości dydaktycznych
(np. kompletne pracownice biologiczne
dla klas IV—X zreformowanej szkoły
podstawowej), nie posiada natomiast
wystarczającej liczby magnetofonów,
adapterów i radioodbiorników z IV
programem, odbierającym najwięcej
audycji szkolnych.

● Filia Centrum Zdrowia Dziecka
miała powstać w pięknym krajobra-
zowo i czystym Krasnobrodzie, po-
wstanie jednak w pobliżu Zamościa.
Decydenci doszli do wniosku, że po-
zyskanie kadry dla obiektów zloka-
lizowanych w osadzie, będzie bardzo
kłopotliwe.

● W Rykach działa pięciokrotnie
więcej punktów sprzedaży alkoholu,
niż to przewiduje norma dla miast o
takiej liczbie mieszkańców. W Puła-
wach jest lepiej: przepisy antyalcho-
lowe łamane są „na 200 procent”.

Magia

Aleksander Mora

PISMA Hermesa Trismegistosa, których autorstwo przypisywane jest egipskiemu bogowi Tot, odpowiadającemu greckiemu Hermesowi, są w gruncie rzeczy dziełami wielu twórców objętych jedynie wspólną nazwą. Pisma te, a szczególnie tzw. „Smaragdowa Tablica”, podają kardynalną zasadę magii, która mówi: „co jest na górze, jest i na dole”. Na tej tezie zbudowana została cała wiedza magiczna. W pewnym przybliżeniu wskazuje ona, że aby oddziaływać na świat niewidzialny, należy wywierać nacisk na odpowiadający mu czynnik widzialny.

„Smaragdowa Tablica” jest zbiorem twierdzeń zaczerpniętych z wczesnomuzułmańskich traktatów. Średniowieczni magowie twierdzili, że została ona odkryta przez Aleksandra Wielkiego na smaragdowej płycie w grobowcu Hermesa. „Smaragdowa Tablica” głosi, co następuje:

1. „Nie głoszę rzeczy zmyślonych ale to, co jest prawdziwe i pewne.
2. Co jest na dole, podobne jest temu, co na górze, a co jest na górze, podobne jest temu, co na dole, aby spełnić cudowności jednej rzeczy.
3. A ponieważ wszystkie rzeczy zostały stworzone za przyczyną jednego Bytu, więc wszystkie rzeczy zostały stworzone z tej jednej rzeczy w drodze przetworzenia.
4. Jej ojcem jest Słońce, jej matką Księżyc, wiatr nosił ją w swym brzuchu, a wykarmiła ją Ziemia.
5. Jest ona przyczyną wszelkiej doskonałości na całym świecie.
6. Jej moc jest doskonała, choć była przemieniona w ziemię.
7. Oddzielił ziemię od ognia, delikatność od prostactwa, działając roztropnie i rozważnie.
8. Wstąpił na najwyższą roztropnością na Ziemi na niebiosa, a potem znowu zstąpił na Ziemię i połączył rzeczy wyższych i niższych. W ten sposób zyskał chwałę całego świata i wszelkie niejasności odstąpiły od ciebie.
9. Rzecz ta jest męstwem wszelkiego mgstwa i pokonuje wszelkie rzeczy subtelne i przenika wszelkie ciała stałe.
10. Tak stworzone zostały wszystkie rzeczy.

11. Stąd wywodzą się wszystkie cudowne przemiany w ten sposób stworzone.

12. Dlatego zwę się Hermes Trismegistos, który posiada trzy części filozofii całego świata.

13. To, co miałem do powiedzenia o działaniu Słońca, jest skończone”.

Księga Henocha przypisywana jest biblijnemu patriarsze Henochowi, ojcu Matuzalema, jakoby żyjącemu 969 lat. Po spełnieniu swego zadania na Ziemi prorok Henoch wjechał do nieba na ognistym wozie, pozostawiając na Ziemi swoje zapisy, zawierające ogromny materiał dotyczący najwcześniejszych tajemnic wiedzy. Wiedzy przeznaczony częściowo zarówno dla godnych i niegodnych, a częściowo tylko dla godnych tego mędrców narodu.

Księga Henocha, uważana przez jednych za tę, która reprezentuje szczyt starożytnej wiedzy i mądrości, zaś przez innych za biblijny apokryf, powiada, że zawarte w niej rewelacje pochodzą wprost od upadłych aniołów — bogów lub półbogów, którzy zstąpili z nieba, by zaznać miłości stworzonych przez siebie ów Ziemi, nota bene wbrew poleceniom przelożonych. Owym urodziwym córkom Ziemi odkryli oni niektóre tajniki wiedzy, dotyczącej zarówno zjawisk na Ziemi, jak i na niebie. Z czasem wiedza ta, źle rozumiana i źle wykorzystana, była ponoc jedną z przyczyn katastrofalnego potopu.

Kabała starożydowska stanowi jedno z podstawowych dzieł magii. Najbardziej znane są jej dwie księgi: „Sepher Yetzirah” (Księga Stworzenia) i „Zohar” (Księga Blasku). Wyraz „kabała” pochodzi od hebrajskiego słowa „kabalah” i oznacza tradycję. Kabała stanowi podobno wiedzę tajemną, uzupełniającą i pogłębiającą nauki zawarte w Biblii. Mieści w sobie także prawowierne doktryny Tory oraz tajne nauki zebrane od czasów Mojżesza aż do XIV wieku.

Kluczem do Kabały ma być Taro — pierwsza księga napisana na Ziemi. W gruncie rzeczy nie jest to dzieło pisane. Jest to gra siedemdziesięcioma ośmioma kartami, podzielonymi na 22 wielkie arkana (zbiory) odpowiednio do liter alfabetu hebrajskiego.

„Sepher Zohar” czyli Księga Blasku lub Wspaniałości, wydana przez Mojżesza de Leon w XIII wieku, jest rękopisem boskim objawieniem, jakie spłynęło na rabina Symeona ben Joachim. Mimo swego pretensjonalnego tytułu Księga Wspaniałości jest tak symboliczna i mętna, że można się w niej dopatrzeć jedynie bezsensownego gadania. Autor pisze w niej o „wykopaniu nad wykopaliskami... w kształcie ogromnego węża”, którego „ogon tkwi w paszczy. Na jego łuskach są zgrubienia. Grzbiet jego jest nienaruszony, ale łeb strzaskany falami olbrzymiego morza. Dwa były. Teraz stały się jednym...”.

Podobne dzieła można interpretować na niezliczoną ilość sposobów. Dają one magom coś, w co mogą włączyć się myślą, a ich zwolennikom należyte poczucie własnej ignorancji.

Tradycja magiczna jest niezmiernie konserwatywna. Cały szereg momentów magicznych zachowało do dziś moc żywotną, nadaną im przez tradycję; rzucają się one nam w oczy w życiu codziennym. Dawni magowie, neoplatonicy, kabbaliści, średniowieczni heretycy bywają wciąż autorytetami i wyroczniami. Stare praktyki, odwieczny rytuał ceremonialny obowiązują wciąż bez zmian. W magii europejskiej dominuje wpływ magii hebrajskiej. Język hebrajski był przecież, podobno, językiem aniołów, a nasze diabły noszą hebrajskie imiona. Napisy i znaki magiczne, symbole są przeważnie kabbalistyczne pochodzenia. Znając magiczne związki między rzeczami, wiedza magiczna pozwala podobno wzmocnić wpływ magiczne, nadając przedmiotom kształt specjalny, sprzęgając razem odpowiadające sobie rzeczy i znaki harmonijne. Sądzi się, że kamienie, metale, rośliny mają siłę magiczną. Między nimi a gwiazdami mają zachodzić związki i relacje, którymi czarownik umie się posłużyć, sporządzając talizmany i amulety.

Magia uznaje istnienie trzech światów: duchowego, astralnego i fizycznego, których przedstawicielami są odpowiednio: ruch, energia oraz materia. Jednak magia zajmuje się głównie astralem. Naucza ona, że astral jest stopniem pośrednim między duchem a materią. Częstka astralna, podobnie jak i duchowa, występuje nie tylko w ludziach, lecz także w roślinach, zwierzętach i minerałach.

Zgodnie z zasadą istnienia trzech światów, w człowieku magia także wyróżnia trzy pierwiastki:

1. duchowy — czysty duch, najwyższe pojęcia duchowe oraz popędy;
 2. astralny — rozum, uczucia, pragnienia;
 3. materialny — ciała materialne, fizyczne i zmaterjalizowane astralne.
- Materia, jak wiadomo, składa się z cząstek lub atomów. Jeśli te najmniej-

sze cząstki materii będziemy dzielić dalej, to wówczas zauważymy, że zbudowane są one z jeszcze mniejszych cząstek, tak zwanych — w języku magii — atomów astralnych. Astral jest więc także materialny, ale o bardziej duchowym charakterze. Dalej już mamy tylko substancję duchową. Tak więc pomiędzy duchem i materia istnieje mnóstwo pośrednich stopni astralnych.

Astral jest zamieszkały; wypełniają go ciała astralne, do których należą:

1. Elementale — duchy przyrody i żywiołów;
2. Astroidee — ludzkie myśli w astralu;
3. Egregory — istoty zrodzone przez zespoły ludzi, połączonych jedną myślą i jedną wolą;
4. Larwy — istoty astralne, powołane do życia dzięki pragnieniom człowieka i dążące do zadośćuczynienia pragnieniu, które je powołało do życia;
5. Elementery — dusza oraz ciało astralne człowieka przebywające w świecie astralnym po jego śmierci.

Człowiek może obcować ze światem astralnym we śnie, w czasie kontaktu telepatycznego lub w procesie jasnowidzenia. Funkcjonuje tutaj, jak już wspomniano, bardzo ważna w magii zasada sympatii i antypatii, która mówi, że dobro przyciąga dobro, zaś zło przyciąga zło. We śnie, w różniący jasnowidzeniu człowiek dobry będzie podlegał wpływowi „dobrych larw”, przez co widzieć będzie głównie rzeczy szlachetne, zaś zły — „larw złych”.

Mieszkańcy świata astralnego mogą także materializować się, przez co stają się widzialni lub przynajmniej wyczuwalni. Materializacja ta przebiega na skutek zagęszczenia się astralu i przyciągania przez niego siły życiowej, którą często czerpie z żywych ludzi. Na seansach spirytyzycznych, na których zjawiają się istoty astralne, następuje obniżenie się temperatury ciała medium, a także uczestników seansu, właśnie na skutek zmniejszania się energii życiowej obecnych.

Zjawiska czarów i magii są ściśle związane z astralem. Największe znaczenie posiadają w nich: wola i wyobraźnia maga. Do wyrażenia woli służą zaklęcia. Mają one znaczenie nie tylko jako wyrażenie myśli, ale także dlatego, że dźwięk wykazuje znaczny wpływ na astral. Stąd zaklęcia są często zbiorem przypadkowych wyrazów, a mimo to pomagają magowi w osiągnięciu celu. Wola czarownika lub maga musi także posiadać punkt oparcia w przedmiocie magicznym, takim jak talizmany, pentakle itp., stąd ich ogromne znaczenie dla skuteczności zaklęcia lub dla ich neutralizacji.

(c.d.n.)

ESTRADOWE NIEDYSKRECJE

Tere fere kuku

KIEDYS byliśmy szeroko znanym krajem lekarzy. Znajomość sztuki medycznej łącznie z czynnym poradnictwem ujawniali co drugi obywatel. Dzisiaj wszyscy znają się wybornie na rozrywce. Dysputy na ten temat praktycznie nie ustają. Na piosenkę i piosenkarzy psioczy teraz kto chce, dając upust pasji krytyki. To psioczenie bierze się po części z ważnej obserwacji naszego życia estradowego. Dzieją się tam rzeczy, jakich nie wymyśliłby żaden satyryk świata. Sensacja goni sensację, nie zawsze artystyczną. Nic więc dziwnego w tym, że ludziska potem komentują. Różnego rodzaju absurdami z tej dziedziny można by zadrukować sporych rozmiarów książkę. Niestety, nie znalazł się jeszcze człowiek pióra, który zebrałby to wszystko do kupy i nadał sensacyjnej fabule kształt literacki. I choćby dlatego perełki rozrywkowej rzeczywistości docierają do przeciętnego odbiorcy w nader skąpej ilości. A szkoda. Naprawdę jest czego żałować, bo niektóre historie z życia wzięte rozweselają do lez.

Najświeższą ciekawostką tego typu jest informacja o istnieniu w naszym kraju dwóch zupełnie różnych zespołów, a jednak posługujących się na scenie tym samym repertuarem. Ktoś powie — niemożliwe. Otóż to: rzeczy niemożliwe, nawet zaskakujące, zdarzają się bardzo często. Posłużmy się może przykładem. Historia dotyczy ciekawej kompanii instrumentalno-

wokalnej zawiadywanej od ładnych paru lat przez łódzkiego muzyka i kompozytora Zbigniewa Nowaka. Po rozbracie z Bractwem Kurkowym Piotra Janczerskiego, Nowak zapragnął własnej sławy i z pomocą operatywnych, a przyjaznych mu ludzi zorganizował grupę HAPPY END. Pod jego artystycznym kierownictwem grupa ta zdobyła ogólnopolski rozgłos, podziw nastolatków i całkiem niezłe apasze. Happy End pojawił się dość często w programach telewizyjnych i radiowych, uświetniał znaczące festiwale, wydawał szlagierowe płyty. Krytyka nie była mu jakoś przychylna. Złośliwi dziennikarze wylewali morze atramentu na produkcje zespołu, łącząc go z najniższym piętrem estradowej rozrywki. Mieli w tym sporo racji. Happy End proponował przesłodzone szlagierki — banalki, wdzięczył się okrutnie na scenie, pomagając sobie nadzwyczaj pretensjonalnymi ruchami (sławne kiwanie rączką przy utworze „Jak się masz kochanie”). Oburzali się też bardziej wysmakowani melomani, ale na Happy End nie było siłnych. Jednakże do czasu. Dyskontując ogromną popularność w kraju i poza jego granicami, „powszechnie podziwiany”

zespół wjechał na tournée za Ocean. Po jego powrocie z tak interesujących wojaży, gruchnęła niewiarygodna wieść. Z bliżej nieznanych powodów piątka muzyków postanowiła opuścić swego szefa na zawsze. Nie zamierzali jednak rozwiązywać dobranego, jakby nie było, zespołu. Pomysłowi instrumentalniści zmienili tylko nazwę, by móc rozpocząć samodzielną działalność. Hokus pokus i grono koszmarnie brzmiących kapel powiększyło się o nowy ansambl — HAPPY FAMILY. Nowy tylko z nazwy, bo muzycy, omijając wszelkie trudności, wpadli na pomysł grania starego repertuaru, a więc tego, pisanego w większości przez Nowaka. Ostatecznie znali go na pamięć, więc nie musieli niczego dodatkowo się uczyć. Rychło znaleźli opiekuna i jako Szczęśliwa Rodzinka rozpoczęli regularne wędrowki muzyczne po kraju, nabijając, ma się rozumieć, kabzę przedsiębiorstw estradowych.

Dotychczasowy szef Zbigniew Nowak nie mógł być gorszy lub jak kto woli, bardziej pokrzywdzony od kolegów. Operatywność zawsze była jego zaletą. Nie przejmując się zbyt wiele rozsypaną jedną formacją, stworzył drugą, pod tym samym szyldem: Happy End. Ze

znalezieniem instrumentalistów nie było specjalnych kłopotów. Tych zawsze jest w nadmiarze. Po skompletowaniu nowego składu Happy End mógł ruszyć na artystyczne trasy z repertuarem bliźniaczo podobnym do szybszej, niestety, Happy Family. Sprawa wyglądała co najmniej na kpinkę. Tylko, kto z kogo tu kpi? Ludzie przyglądający się z boku tym manewrom robią dziwne miny i pukają się w czoło. W obecnej sytuacji zwyciężyć będzie chyba zasada — kto pierwszy ten lepszy. Od sprawności organizacyjnej kierowników konkurujących ze sobą ekip zależy będzie, która z nich dotrze do wybranego odbiorcy wcześniej. Czy nie jest to wystarczająco zabawne?

Rodzima rozrywka rządzi się partyzanckimi metodami, toteż nie sądzę, by szybko znalazł się ktoś rozsądny i zmusił jedną z formacji do opracowania nowego programu. Były przed laty dwa wcielenia Alibabek, czemu nie może być zdublowanego Happy Endu? W końcu organizatorom imprez estradowych nie zależy specjalnie na tym, kto jak się nazywa i co śpiewa, aby tylko dobrze sprzedawał się. Happy End ze swym kiecowatym programem sprzedaje się doskonale w różnych punktach kraju, przeto dajmy zarobić jednemu i drugiemu. Absurdalność całej tej sprawy nie jest dla muzyków żadną przeszkodą. A że niektórzy będą się śmiać? Śmiech to zdrowie.

Istvan Grabowski